

**ALFRED HITCHCOCK**

**PERŁY PATRYCJI**  
**McGROVE**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: **KRYSTYNA BOGLAR**)

**SIEDMIORÓG 2000**

## **KILKA SŁÓW OD ALFREDA HITCHCOCKA**

*Podczas drugiej wojny światowej armia japońska zagarnęła w trakcie azjatyckiej kampanii ogromną fortunę w sztabach złota i cennej biżuterii. Tysiące ton kruszcu przechowywano na Filipinach. Oto początek całej sprawy. Z tym wszystkim zetkną się Trzej Detektywi. No, może nie z tonami złota. Większości z nich nie znaleziono do dziś. Ale... zostały wskazówki, gdzie szukać skarbu. Nie, to nie fantazja. To fakt. Gdybym nie był wiekowym panem... kto wie!*

*Pamiętacie Trzech Detektywów? Są już starsi. Porzucili dziecienną kryjówkę w starym barakowozie na terenie składu złomu ciotki Matyldy. Ale niewiele się zmienili.*

*Jupiter Jones jeździ stareńkim fordem, co nie pozostaje bez wpływu na jego skłonności do tycia. Wciąż jednak zadziwia logiką myślenia. Dedukcją.*

*Peter Crenshaw - Drugi Detektyw - smukły i bardzo przystojny chłopak podoba się dziewczynom. Silny, muskularny przydaje się w najtrudniejszych sytuacjach.*

*Trzeci, Bob Andrews, dalej prowadzi dokumentację. Jest niezawodny w wyszukiwaniu materiałów faktograficznych. Szpera nie tylko w bibliotece w Rocky Beach, gdzie mieszkają, lecz także, poprzez internet, w Bibliotece Kongresu.*

*Obecna Kwatera Główna "spółki" to zagracony do niemożliwości "apartament", uzyskany na nadbrzeżu po wyprowadzeniu się stamtąd rybackiej kooperatywy.*

*Ale, byłbym zapomniał, tym razem trop wiedzie z Kalifornii do Europy. Konkretnie do Polski. A za nim nasi detektywi. Jupiter twierdzi, że gdyby nie wygrali biletów na samolot, nic by z tego nie wyszło. A tak... zapędzili się na Stary Kontynent. W ślad za sznurem pereł.*

*No, nie chcę przedwcześnie zdradzać szczegółów!*

## **ROZDZIAŁ 1**

### **POCZĄTEK ŁAMIGŁÓWKI**

- O co chodzi, Jupe? - spytał Pete Crenshaw parkując stary rower tuż przy płocie. - Dlaczego telefonowałeś? Mama twierdzi, że zbyt mało czasu poświęcam na trening, a zbyt wiele naszej firmie detektywistycznej.

Jupiter Jones zmrużył oczy. Słońce zachodziło i czerwona poświata kładła się plamami na szarym, odrapanym murze dawnego doku nad samą zatoką. Teren, po rozwiązaniu spółki rybackiej, przez parę lat był niczyj. Później przejęły go władze Rocky Beach. Ale żadna poważna firma nie chciała tu zagościć. Zbyt wielkie byłyby koszty. Toteż gdy chłopcy zgłosili chęć zajęcia jednej z obszernych hal na swoje biuro, i do tego obiecali płacić niewielki czynsz, rada miejska wyraziła zgodę. Niewątpliwym wpływem na przewodniczącego Callagana miała świeżutka wizytówka:

**TRZEJ DETEKTYWI**  
**Badamy wszystko**

**Jupiter Jones . . . . . założyciel**  
**Pete Crenshaw . . . . . współpracownik**  
**Bob Andrews . . . . . współpracownik**

- Dobrze, chłopcy - skinął łysą głową. - I tak nie mamy innych ofert. Na razie - zastrzegł się w dobrze pojętym interesie miasta.

Jupiter odetchnął z ulgą. Ich dotychczasowa Kwatera Główna mieściła się w samym środku składowiska złomu, którego właścicielami byli ciotka Matylda i wuj Tytus. Już jako mali chłopcy zabudowali systemem tajnych wejść starą przyczepę kempingową. Ale co było dobre dla dzieci, niekoniecznie satysfakcjonowało młodzieńców. Tym bardziej że ciotka Matylda, jak zawsze, goniła ich do prac fizycznych przy załadunku lub opróżnianiu ciężarówek.

Teraz stali się bardziej niezależni.

Oprócz komputera z drukarką i aparatu telefonicznego wszystko inne pochodziło z rezerw ciotki Matyldy. Stół miał trzy nogi, a zamiast czwartej - stos dawno przeczytanych komiksów. Fotel - wylazłącą sprężynę, na którą zwykł był

nadziewać się Bob. Reszta wyposażenia wyglądała podobnie.

- Jupe! Mówię do ciebie! - zdenerwował się Pete.

- Co? Ach, tak. Telefonowałem, bo Bob ma jakąś rewelację. Twierdzi, że, być może, zrobimy wielki majątek.

Pete prychnął, wzruszając ramionami.

- Już to widzę. Obrabujemy bank?

Jupiter właśnie sięgnął po ciasteczko, ale się powstrzymał. Co tu ukrywać! Od dziecka miał nadwagę, co powodowało braki w kondycji fizycznej. I szczerze nienawidził tych, którzy pamiętali, że nazywano go "Małym Tłuscioszkiem". A, niestety, pamiętali wszyscy.

Skrzypnęły ciężkie metalowe drzwi, pomalowane wesolutko na niebiesko. Wszedł zaafierowany Bob, machając od progu rękami.

- Ale mam rewelację! No, mówię wam...

- Spoko - warknął Pete włączając pocztę internetową. - Nikt nic dla nas nie ma. Żadnego wezwania. Do diabła, już dawno nie zarobiliśmy ani centa!

Bob usiadł z rozmachem w fotelu. W następnej sekundzie zerwał się z wrzaskiem:

- Jupe! Obiecałeś, że naprawisz sprężynę!

Jupiter zapatrzył się na zachodzące słońce. Przez brudną szybę wyglądało nieziemsko.

- Ach tak, Bob, przepraszam. Zdaje się, że miałeś jakąś rewelację.

Bob Andrews pocierał ukradkiem siedzenie. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął kilka zmiętych kartek.

- Chcecie posłuchać?

- Bob! - jęknął Pete. - Przecież po to nas tu zwołałeś!

- No... to czytam. Ale, proszę, nie przerywajcie!

Skinęli głowami, choć obaj dobrze wiedzieli, że to niemożliwe.

- Dużo tych kartek... - zaszemrał Jupiter. Umilkł jednak, widząc karcące spojrzenie dokumentalisty. - Już nic...

- Wiecie, że pracuję nie tylko w Bibliotece Miejskiej w Rocky Beach, ale również czasami przygotowuję materiały dla ojca. No, raczej dla gazety Sun-Press...

- Wiemy, Bob - stęknął Pete. - Zaczynij wreszcie!

Bob Andrews wydał usta.

- To ważne. Bo właśnie wszystko zaczęło się w redakcji Sun-Press, kiedy

przyszedł do ojca niejaki Sam Gomez.

- Kto to? - zainteresował się Jupiter.

- Nie znasz. Uczciwy człowiek.

- Skąd wiesz? - wpadł mu w słowo Pete. - Może trzeba przy nim pilnować nawet drobnych?

- Mieliście nie przerywać! - wrzasnął Bob strasznym głosem. Ponieważ czynił to rzadko, natychmiast umilkli. - Ten facet wrócił właśnie z Filipin. Z wykopalisk.

- Odkrył zagubioną wioskę ludożerców?

Bob cisnął w kierunku kolegi fragment szufladki: dużą, drewnianą gałkę.

- Nie. Odkrył trzy sztaby złota i wskazówki, gdzie są dalsze.

Cisza grobowa zapanowała w ciemniejącym wnętrzu. Tylko z oddali dochodził szum Pacyfiku.

- Mówisz serio? - Jupe węszył niczym tresowany pies policyjny. - Chce pomocy detektywów?

- I tak, i nie - powiedział Bob siadając ostrożnie na zydłu. Nigdy nie było wiadome, który mebel ma nogi, a który nie. - Dopóki jednak nie przeczytam wam, o co chodzi, nie możemy dyskutować.

- Nie możesz opowiedzieć? W dwóch słowach? - Pete, jak każdy sportowiec, wolał hantle od szeleszczących, zadrukowanych stron. Co wcale nie przeszkadzało mu w wyciąganiu właściwych wniosków.

- Nie mogę. Musiałem te rewelacje pana Gomeza sprawdzić w internecie. I w archiwach Instytutu Historycznego w Santa Barbara.

- Dobra. Wal.

- Jest tak: cytuję dokładnie. *Podczas drugiej wojny światowej armia japońska zagarnęła w trakcie azjatyckiej kampanii olbrzymią fortunę w sztabach złota, obiektach sakralnych i biżuterii. Tysiące ton złota przechowywano na Filipinach. Gdy latem 1944 roku Amerykanie rozpoczęli ofensywę na Filipiny, dowódca tamtejszych wojsk okupacyjnych generał Tomojuki Jamasita postanowił przetransportować złoto do Japonii. Pierwsze z wysłanych frachtowców zatopili Amerykanie. Wtedy Jamasita podjął decyzję o ukryciu skarbu. Złoto zakopano w wielu miejscach. Amerykanie, po wojnie, odzyskali tylko jego niewielką część. Podobno wiele ton złota trafiło w ręce przyszłego prezydenta Filipin Marcosa. Co jednak stało się z resztą?*

- No właśnie, co? wyjąkał Jupiter, wpychając do ust aż dwa ciasteczka.

- *Jamasita, skazany na śmierć za zbrodnie wojenne, do końca zachował milczenie* - czytał Bob, teatralnie modulując głos. - *Do dziś jednak nie brakuje ludzi, którzy próbują odkryć tę tajemnicę. Japończycy zabili wprawdzie jeńców wojennych, których wykorzystywali do wykopywania schowków, ale pozostawili nieliczne wskazówki, mające w przyszłości pomóc w odnalezieniu kryjówek...*

- Koniec? - wyszeptał nabożnie Pete.

- Nie. Jeszcze parę informacji: Amerykanie - *Tim Sirogata i John Denver* - *kopią w pobliżu palm, na których odkryli tajemnicze nacięcia - zaszyfrowane informacje. Wierzą, że trafili na pięć do siedmiu ton złota.*

- O rany! - westchnął Pete. - Toż to straszliwa fortuna! A gdzie złoto wydlubał ten twój... jak mu tam...?

- Sam Gomez? Dwadzieścia kilometrów dalej. Pod chatą dwojga starych Filipińczyków. Ponieważ nie chcieli, za nic w świecie, opuścić chaty z palmowych liści, Sam musiał podnieść dom na pale. I wstawić długą wygodną drabinę.

- Dobrze - powiedział wolno Jupiter Jones - to wszystko szalenie interesujące. Ale po co ów Sam Gomez przyszedł do redaktora miejscowej gazety w Santa Barbara, leżącej o tysiące mil od chaty na palach? Dlaczego porzucił złoto?

Bob Andrews kilkakrotnie zaklaskał w dłonie.

- Brawo, Jupe! Właściwa dedukcja. Godna Pierwszego Detektywa! Sprawa jest prozaiczna: praca w wykopie kosztuje piętnaście do dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie!

- Przynajmniej kilku filipińskich biedaków znalazło robotę na miejscu - stwierdził praktyczny Crenshaw. - Tylko co my z tym mamy zrobić? Pomóc mu? Jakoś nie zauważyłem w portfelu mego taty ani połowy takiej sumy! A jest fachowcem od efektów specjalnych w Metro-Goldwyn-Mayer! Kto mówi, że w Hollywood zarabia się prawdziwe pieniądze?

Jupiter uśmiechnął się z przekąsem, ukazując rząd olśniewająco białych zębów.

- Wyglądasz jak rekin! - zaśmiał się Pete. - Co to za wygląd?

Jupiter wyjął z ust plastikową szczękę.

- Tym zapłacił wujowi Tytusowi jeden znajomy aktor. Za zabytkową szkatułkę na cygara.

- Wuj nie potrzebuje zębów?

- Nie. Chwilowo nie. Ma własne. Ale wracając do skarbu generała Jamasity. W czym możemy pomóc?

Bob wyjął jeszcze jedną karteczkę.

- Musimy odnaleźć dokładną wskazówkę, gdzie ów Japończyk zakopał skarb najciekawszy: unikatową biżuterię zbieraną pracowicie dla własnej żony.

Obaj chłopcy zerwali się z miejsc.

- Mamy jechać na Filipiny?

- Kopać pod chatą innych staruszków? Zwariowałeś, Bob? Za co?

Bob nie tracił zimnej krwi. Cierpliwie czekał, aż przyjaciele odzyskają rozum.

- Oczywiście, że nie pojedziemy. Nie trzeba. Owa wskazówka jest tu, na miejscu.

- W Rocky Beach? - zdumiał się Pete.

- Tak. A raczej... nie.

- Zdecyduj się! - wymamrotał Jupe z ustami zapchanymi migdałowymi ciasteczkami, pożeranymi łapczywie.

- Żeby Sam Gomez mógł znów kopać, musi mieć na to pieniądze. Żeby mieć pieniądze, musi znaleźć choć część biżuterii. Żeby znaleźć choć część biżuterii pani Jamasitowej, musi policzyć perły.

- Co takiego?

Bob wsiał ze stołka i otworzył lodówkę. Wyjął puszkę coca-coli i zmarszczył brwi.

- Ciepła?

Jupiter Jones wzruszył ramionami.

- Jak wiesz, lodówka też jest ze składu złomu cioci Matyldy. Właśnie wydała ostatnie tchnienie. Ale co mówiłeś o perłach?

Bob z niesmakiem raczył się ciepłym płynem, smakującym niczym zmiażdżone dżdżownice.

- Jedynym klejnotem, który od męża dostała pani Jamasitowa, jeszcze przed jego niechlubną śmiercią, był wspaniały naszyjnik z białych i czarnych pereł. Układ tych kuleczek, odstępy pomiędzy nimi oraz znaki na złotym zameczku - wszystko tworzy dokładny zapis.

- Czysta szarada - mruknął Pete. - Wiadomo chociaż, co te kuleczki oznaczają?

- Wiadomo. - Bob z niesmakiem odstawił puszkę. - Nie wiadomo tylko, gdzie są!

- Przecież mówiłeś, że tutaj!

- Nie całkiem. Pani Jamasita po śmierci męża sprzedała ów sznur. Nic nie wiedziała o zawartej w nim tajemnicy. Nikt nie wiedział. Nawet londyńskie Sotheby's,

które niejednokrotnie pośredniczyło w aukcji pereł.

- Niejednokrotnie? - Pete rozprostował ramiona. Chętnie by poćwiczył hantlami, ale wiedział, że to rozprasza pozostałych.

- Tak. Mamy przecież rok 1998! Perły zdążyły objechać kulę ziemską. I cztery razy zmienić właściciela.

Jupiter stukał palcami w blat biurka. Myślał o czekającym go zadaniu. Bo perły nie były tak ważne, jak rozplatanie trudnej, trzeba to przyznać, łamigłówki.

- Kto dziś je ma?

- Patrycja Mc Grove - odparł Bob.

- Ta słynna piosenkarka? - zaciekawiał się Pete. - Znam ją z płyt i zdjęć. Ma hebanową skórę i włosy zaplecione w tysiąc warkoczyków. I wielki dom na zboczu, w okolicy Malibu.

- O rzut kamieniem od naszej rezydencji! - roześmiał się z ulgą Bob. Był zmęczony czytaniem i całą tą kłopotliwą dokumentacją.

Jupiter połknął wreszcie ciasteczko. Jego oczy błyszczały niczym dwa brylanty. Mózg pracował na wysokich obrotach.

- To dlaczego Sam Gomez nie wie, gdzie są perły, a ty wiesz?

- Bo Sam Gomez jest... niepiśmiennym zamiataczem ulic. To znaczy nim był. Niczego nie znajdzie w internecie. Nawet nie wie, jak go obsłużyć. Sam Gomez jest szczęściarzem. Znalazł, przez przypadek, dwie sztabki złota, które przetrwonął na szukanie pozostałych. Dlatego wrócił na gapę z Filipin i przyszedł do redakcji. Miał szczęście, że trafił na ojca. Tato nie ma czasu się tym zajmować, bo pisze o zanieczyszczeniu wód przybrzeżnych Kalifornii. Ale tato dobrze zna Trzech Detektywów. I dlatego tu jestem.

- Alleluja! - wyszeptał Pete.



## **ROZDZIAŁ 2**

### **KIM JEST AFFLEY BUCK?**

Dwa dni później spotkali się w centralnym punkcie Hollywoodu, koło ośrodka informacji turystycznej.

- Nie uwierzycie, ile czasu pochłonęło mi przejechanie Pasadena Freeway! - denerwował się Jupiter spoglądając na zegarek. Był spóźniony o dobre dwadzieścia minut.

- Wierzymy - wzruszył ramionami Pete. - Dlatego nigdy się nie poruszam własnym pojazdem. Pomału Los Angeles staje się miastem kompletnie zakorkowanym.

Bob żuł gumę z szybkością młota parowego.

- Dobra, szkoda czasu. Idziemy.

Chłopcy skierowali kroki ku Chinese Theatre, budynkowi w stylu chińskim, przed którym odcisnięte zostały w betonie dłonie i stopy czołowych artystów filmu.

- Dlaczego tam idziemy? - Pete Crenshaw nie znosił Los Angeles, a najbardziej okolic związanych z przemysłem filmowym. Jako mały chłopiec często odwiedzał ojca pracującego niegdyś dla wytwórni Universal. Dziś cała ta otoczka "fabryki snów" śmiertelnie go nudziła. Wolał rozległe plaże i kąpieliska Santa Barbara czy podnóża gór Santa Ynez.

- Bo jedyny człowiek, który coś wie o Patrycji Mc Grove, pracuje w kasie.

- Chińskiego teatru?

- Nie. Kasa jest w środku. Ale nie należy do biura zajmującego się wynajmem samochodów. Wiecie... jeśli ktoś chce zwiedzić studia, musi się tam dostać.

- Jasne. I co ten facet?

- Jaki facet? - Pete wciąż nie mógł się skupić. Ruchliwy punkt miasta wyraźnie go rozpraszał.

- Przestańcie! - Jupiter zatrzymał się na środku gwiazdy. Jego prawa stopa stała dokładnie w miejscu, gdzie słynna aktoreczka hollywoodzkiego kina - siedmioletnia Shirley Tempie - jakies, bagatela, sześćdziesiąt lat temu uwieczniła odcisk swych małych łapek. - Skupcie się! Idziemy do Affleya Bucka. Jest byłym akompaniatorem Patrycji. Także kompozytorem.

- I teraz pracuje jako bileter? - zdumiał się praktyczny Pete. - Nie zarobił na

dom w Malibu?

Jupiter zszedł z gwiazdy. Chodnikiem przewalał się kolorowy tłum turystów. Jupe też nie lubił Los Angeles. Ale cóż zrobić, gdy trzeba dotrzeć do sznura pereł.

- Był jej akompaniatorem, zanim jeszcze została światową sławą rocka. Kiedyś śpiewała murzyńskie spirituals.

- A ten Affley... jak mu tam?

- Buck. Swoją drogą, co to za imię: Affley? Tutaj. Wchodzimy.

W ciemnym wnętrzu znajdowało się to wszystko, co w nim być powinno: dziesiątki plakatów, z których patrzyły twarze, znane teraz wyłącznie historykom filmu. Ale nieme filmy do dziś wyświetla się na kilkunastu seansach. Po prawej stronie, tuż pod szyldem biura wynajmu samochodów, za szklaną szybą widać było ciemną czuprynę, szeroki nos i olśniewające zęby.

- Chyba nie ma sztucznej szczęki? - roześmiał się Bob, wypluwając dyskretnie gumę. Pochylił się, przyklejając ją do kolumny unoszącej złotą kopię "Oscara".

- To jest właśnie Affley. Hej, witaj, Affley! - Jupiter zaaplikował uśmiech "numer cztery". Szeroki, prawdziwy, szczery aż do bólu. - Przysyła mnie twój kumpel z Rocky Beach. Andrew Trawler.

Murzyn przeraźliwie łypnął białkami.

- Jest mi winien forszę.

- Przykro mi. Nie wiedziałem - uśmiech Jupitera miał "numer jeden": niepewny, leciutko smutny, prawie łzawy. - Ale i tak nam pomożesz.

- No? - Affley znów błysnął zębami. - O co chodzi?

Chłopcy skupili się na wprost szyby. Jej dolna połowa była odsunięta, by klient mógł wygodnie podać pieniądze. Jak na dłoni widać było wewnątrz: plakat z ostatnim modelem rolls-royce'a, bukiet sztucznych róż w wazonie ze styropianu oraz ogromny, stary pistolet. Chyba rekwizyt filmowy z czasów braci Marx.

- O Patrycję Mc Grove.

Affley puścił oko.

- Jesteście fanami Patty?

Na wszelki wypadek wszyscy skinęli głowami. Jupiter postanowił wziąć sprawę w swoje detektywistyczne ręce. Niezwłocznie.

- Chcemy wiedzieć, gdzie mieszka. Malibu to duża wieś.

Murzyn zarechotał.

- Duża. I sporo tam wąwozów. I skał. Trudno trafić.

- Właśnie! - Bob chciał jak najszybciej wracać. Dziś jeszcze musiał pomóc bibliotekarce z Santa Monica zrobić porządek z książkami podarowanymi przez Instytut Oceanograficzny.

- Patty nie lubi nieproszonych gości.

- A kto lubi? - westchnął obłudnie Pete. Pomyślał o swojej matce, która też ich nie znosiła.

Para japończyków grzecznie stanęła przed chłopcami. Widać było, że chcą się przejechać po Beverly Hills, by z bliska obejrzeć rancho, wille i bungalowy wielkich sław kina.

- Muszę pracować - zdenerwował się Affley.

- Tylko podaj adres - Jupiter wyglądał na człowieka, który raczej skona z głodu, niż się ruszy z miejsca.

- Musicie pojechać starą trasą turystyczną, zaraz za plantacją.

- Drogą Numer Jeden?

- Tak. Nad brzegiem oceanu. Potem w lewo do Kanionu Złej Sławy. Wiecie gdzie?

Pete skinął głową.

- Jasne.

- Co dalej? - Bob przestępował z nogi na nogę. Był człowiekiem uprzejmym i żał mu było Japończyków.

- Trzecia odnoga w górę. Wokół rosną tylko ostrokrzewy. Istna dżungla. Jej dom stoi na skalnym uskoku. Z dołu w ogóle niewidoczny.

- Wielkie dzięki.

- Pozdrówcie ode mnie Patty. Może jeszcze zagramy razem w Misji San Luis Obispo. Jak kiedyś. Albo... na trasie...

Jupiter wychynął na światło słoneczne pociągając za sobą przyjaciół.

- Zaparkowałem niedaleko. Jedziemy!

Trochę to trwało, zanim wydostali się na autostradę. Dwa razy minęły ich z rykiem wozy straży pożarnej.

- Gdzieś się pali - Pete zdjął z uszu słuchawki. Rock w wykonaniu Patrycji był rewelacyjny. Jej niski, seksowny głos przypominał nieco starą, dobrą Ellę Fitzgerald.

- Najwyraźniej - Bob z niepokojem uniósł się na siedzeniu. - Lepiej, żeby pożar, jeśli już musi być, był na dole.

- Dlaczego? - Jupiter prowadził szybko i pewnie. Do wzgórz było już niedaleko.

- Bo mam złe wspomnienia. Rodzina Andrewsów mieszkała kiedyś na zboczu. Wiesz, co się dzieje, kiedy palą się ostrokrzewy? Szczególnie gdy długo trwała susza daje się we znaki? Dom cioci Betty spłonął niczym zapalka. To było trzy lata temu.

Pete Crenshaw wystawił głowę przez okno.

- Nie chcę was martwić - powiedział ponuro. - Ale pali się na wzgórzu. Widzicie ten kłęb dymu?

Dojeżdżali do kanionu. Jupe zwolnił. Przed nimi stał szereg samochodów. Wjazd pod górę zamknięty był policyjnym szlabanem. Żółta wstęga nie zostawiała żadnych złudzeń.

- Stop. Dalej nie ma wjazdu. - Policjant w czarnej kurtce z wielkim białym napisem na plecach kierował samochody na sąsiedni pas.

- Ale... my tam mieszkamy - Pete skłamał bez mrugnięcia okiem. Sam się zdziwił, że mu to poszło tak gładko.

Władza jest wszędzie taka sama. Meksykańskie rysy przybrały wyraz troski. Spod czapki patrzyły na chłopców świdrujące oczy.

- Nic z tego. Sześć jednostek straży gasi pożar willi na skale. Chodzi o to, by się nie zajęły krzewy. Wtedy cała okolica poszłaby z dymem, jasne?

- Willa na skale? - przeraził się Bob Andrews. Straszliwe podejrzenie wstrząsnęło nim do głębi. - Dom Patrycji Mc Grove?

Policjant skinął głową. Pobiegł zatrzymać kolejne wozy próbujące ominąć zaporę. W jednym była kamera filmowa i trzech podekscytowanych redaktorów miejscowej stacji.

- Stop! Nie ma wjazdu!

- Wytwórnia CBS. Bert Kingsley!

- Ani nawet sam diabeł! - Meksykanin w policyjnym mundurze był nieugięty. - Stworzycie tylko dodatkowe zagrożenie!

Jupiter wolno wycofywał się na sąsiedni pas. Za nimi tkwił już sznur aut. Wszystkie ryczały klaksonami. Bez sensu.

Kiedy się znów wytoczyli na autostradę, Pete zaklął szpetnie.

- Co za pech! Pożar akurat dzisiaj!

Jupiter kierował Iową ręką. Prawą skubał wargę. Zawsze tak robił, kiedy przychodziły mu do głowy najlepsze rozwiązania.

- Nie sądzę - wymruczał - żeby to był przypadek.

- A co? Podpalenie? - Bob wykręcał głowę, by jeszcze z daleka popatrzeć na

dym. Chyba się nie rozprzestrzeniał.

- Tak przypuszczam.

- Dlaczego, na Boga!?! - Crenshaw nie zawsze najszybciej kojarzył fakty.

- Bo ktoś chciał ukraść perły.

- Nasze perły? - wrzasnął Bob. - Dlaczego?

Jupiter położył prawą dłoń na kierownicy. Skręcali w drugi zjazd. Zaraz zaczęła się zabudowania Rocky Beach.

- Ponieważ Sam Gomez okazał się idiotą. Znaczą... gadułą. Tak myślę.

Wszyscy zafrasowali się na dobre.

- Podrzucić mnie pod dom - poprosił Bob, który mieszkał najbliżej. - Mama nie wie o mojej wyprawie do Los Angeles.

Pete rozłożył dłonie.

- Stary, od dzieciństwa ukrywaliśmy wszystko przed rodzicami. W przeciwnym razie Trzej Detektywi nie mieliby żadnych szans na sławę. Spotkamy się jutro w Kwaterze Głównej. O piątej. Możesz?

- Mogę.

Jupiter wyrzucił Crenshawa u zbiegu parkowych ulic, sam pojechał do składowiska złomu. Chciał udobruchać ciotkę, zanim zacznie lamentować.

- Obiad stygnie! - powiedziała niezadowolona.

- Przepraszam. Wybuchł pożar na wzgórzu. Pali się willa Patrycji Mc Grove.

- Tej piosenkarki? - ciotka obciągnęła fartuch. Jej wydatny biust falował. - Brzydka jak noc. Pamiętam, kiedy była mała, przychodziła śpiewać do kościoła. Istny skowronek na Bożą chwałę. A dziś co? Mężów miała z pięciu...

Jupiter wcinał stek z pieczoną marchwią, aż mu się uszy trzęsły.

- Jest bardzo bogata.

- I co z tego? Nie ma szczęścia w życiu! A teraz traci dom. Tam, na wzgórzach, w kanionie, zawsze łatwo o pożar. Szczególnie, gdy wieje huragan znad Pacyfiku. Ale meteorolodzy nie wspominali o wiatrach.

Jupiter walczył z mięsem. Zawsze było ciut za twarde. Ale za nic na świecie nie powiedziałby tego głośno.

- Ktoś podpalił. Tak twierdzi policja.

- Pewnie naprzód było włamanie. Złodzieje zawsze w ten sposób zacierają ślady. Rok temu spłonęła willa Eastwooda. Oczywiście, uprzednio solidnie splądrowana. Złodziei do dziś nie znaleziono. Dobrze, że tej Patrycji nie było w domu...

Jupiterowi wypadł z ręki widelec. Z brzękiem uderzył o podłogę. Chłopiec podniósł na ciotkę zdumiony wzrok.

- Skąd ciocia wie, że jej nie było?

Ciotka Matylda włączyła elektryczną zmywarke. Kuchnią wstrząsnął głośny łomot.

- Bo oglądam telewizję - ciotka usiłowała przekrzyczeć maszynę. Ta zaś była niczym startujący samolot. Po kilku minutach umilkła. Cisza rozkosznie zadzwoniła w uszach. - Stacja CNN podaje takie wiadomości. Patrycja Mc Grove udała się w podróż do Europy. Razem z psem, dziesiątkami waliz, ekipą muzyków, kucharką i sejfem.

- Sejfem? - Jupiter przełknął marchew.

- Tak mówili. Ma wspaniałą biżuterię. Ogromnie kosztowną. Wartą ileś tam milionów. Pokazywali sznur pereł. Białe i czarne. Unikatowe. Naprawdę coś pięknego. Ale sama bym ich nie chciała. Ludzie, to trzeba trzymać w banku! Jeśli o mnie idzie, wolę gotówkę. Przynajmniej daje procenty. Zjadłeś?

- Tak, dziękuję. To ważna wiadomość.

- Jaka? Że pieniądze w banku procentują?

Przeraźliwy ryk maszyny do zmywania znów wypełnił wnętrze kuchni. Jupiter jednym skokiem znalazł się na podwórzu.

- Idę pomóc wujkowi w załadunku! - wykrzyknął przez ramię. Czuł się nie w porządku. Zamiast pracować, stracił całe przedpołudnie. - Do licha wymruczał - wszystko na nic! Patrycja wraz z perłami płynie lub leci do Starego Kraju. Nici ze skarbu! A może nie? - zastanowił się przystając. - Ludzie często fotografują słynną biżuterię. Po to, by w razie kradzieży móc dochodzić swoich praw. Może jest gdzieś, w redakcji gazety albo w albumie, fotografia słynnych pereł?

- Trzeba wszystko zacząć od początku - powiedział, gdy następnego dnia spotkali się w Kwaterze Głównej.

- Przeszukam internet - mruknął Bob sadowiąc się przed komputerem.

- W razie czego włamiesz się do modemu policji w Malibu. Może mają zdjęcie.

Pete miał całkowite zaufanie do umiejętności Boba. Był znanym hackerem. Ale nigdy dotąd nie wyszedł poza granice prawa.

Jupiter nerwowo skubał wargę.

- Zdjęcie musiałyby być kolorowe. I pokazywać naszyjnik dokładnie rozłożony. Inaczej wszystko na nic.

Bob mruczał coś pod nosem. Wśród tysięcy nazwisk śpiewaków, pieśniarzy i rockmanów wciąż nie natrafiał na Patrycję.

- Co z nią? Wyparowała? Czekaście... coś mam!

Jupiter i Pete rzucili się zaciekawieni.

- Co? O, jest także nasz przyjaciel Affley Buck.

- Rety! Kim była jego żona? Nie dacie wiary! Toż to Patrycja Flack! Tak się nazywała, zanim została Affleyową Buck. - Jupiter obgryzał skórę kciuka.

- Pierwszym mężem Patrycji był Affley. Dlaczego nam nie powiedział? - Bob nerwowo klikał myszą.

- Nie powód do chwały. Rzuciła go dla saksofonisty. Potem był jeszcze... facet zwany "Złotą Trąbką" i... - Bob urwał wstrząśnięty - niejaki Tim Sirogata... to on!

- Kto? - Pete nie chwycił.

- Gość, który kopie pod palmami na Filipinach. Czytałem wam przecież! Oprócz naszego Sama jest ich tam jeszcze dwóch: John Denver i właśnie Tim Sirogata. Z nazwiska sądząc, Amerykanin japońskiego pochodzenia.

- Bingo! - Jupiter sięgnął do puszek. Ale nie było w niej ani jednego ciasteczka. Westchnął smutnie.

Zadzwoił telefon. Pete odebrał. Chwilę coś mruczał, w końcu zapytał:

- Bob, dzwoni Vanessa. Pyta, czy bierzesz udział w konkursie na hasło dla linii lotniczych American Airlines.

- Co takiego? Nic nie wiem. Niech nie przeszkadza.

Pete dalej mruczał do słuchawki. Niezadowolony przerwał:

- Ona twierdzi, że można wygrać bilety na dowolny lot w każdym kierunku kuli ziemskiej.

Bob tylko wzruszył ramionami.

- Vanessa niczego sensownego nie wymyśli. W szkole musiałem za nią wypełniać najgłupsze kwestionariusze.

Pete z ulgą odłożył słuchawkę. Tylko Jupiterowi nagle zabłysły oczy.

- A może wziąć udział w tym konkursie? Jeśli wygramy, polecimy za darmo na Filipiny! Kopać złoto pod palmą obok chaty kolejnych staruszków. Co wy na to?

Bob i Pete wzruszyli ramionami. Co jakiś czas ktoś ogłaszał konkurs z nagrodami. No, i ktoś coś wygrywał, a potem cała zabawa toczyła się od nowa. Wszystkie telewizyjne programy, wszystkie reklamy pełne były haseł, które ktoś kiedyś wymyślił. Ale im nigdy się to nie przytrafiło.

Pete jak zwykle był ostrożny. I sceptyczny.

- Same bilety nie wystarczą. Trzeba jeszcze na Filipinach coś jeść, pić, że nie wspomnę o kosztach związanych z pracą ludzi. Dla mnie to nie ma sensu. Interesuje mnie rozwikłanie zagadki, nie sztaby cudzego złota.

Bob klikał myszą, przeskakując z programu na program.

- Nie ma żadnej gwarancji, że wygramy. To musi być hasło jak... grom! Pamiętajcie dziewczynę Bonda?

- Jasne! roześmiał się Pete. - "Nie wezmę prysznicu, żeby nie zmyć twoich odcisków palców!"

Wszyscy trzej się roześmieli. Jednakże pomysł wciąż nurtował Jupitera.

- Co nam szkodzi zapoznać się z warunkami konkursu?

Bob wzruszył ramionami. Wyłączył komputer.

- Nie ma sprawy. Plakat wisi koło biura linii lotniczych. Będę tam za dziesięć minut. To cześć, detektywi. Jesteśmy na razie uziemieni.

Jupiter Jones wstał ociężale, potrącając nogą stos komiksów. Stół zachwiał się i runął bez ostrzeżenia. Z kolorowych kubków została na podłodze warstwa okruchów. I zalane coca-colą rozsypane wizytówki.

- Muszę pogadać z cicią Matyldą - wysapał Jupiter przykucając - na złomowisku są jeszcze dwa stoły. Jeden z nich ma cztery nogi.

Bob własnym ciałem osłaniał stare biurko.

- Na wszelki wypadek nie zbliżaj się tutaj, dobrze?

- Dobrze.

Po wyjściu obu przyjaciół szef detektywów zapatrzył się na wąski kawałek zatoki widniejący w prześwicie pomiędzy odrapaną ścianą i kwitnącą, jak gdyby nigdy nic, potężną agawą.

- To jest typowy MP. Czyli - Mój Problem.

I niezwłocznie zaczął gryzmolić na kawałku papieru swoje pomysły.



## ROZDZIAŁ 3

### DLACZEGO SPŁONEŁA WILLA PATRYCJI?

Następnego dnia chłopcy podjechali fordem do stóp kanionu. Policja zwinęła już żółte taśmy, straż pożarna wciąż dogaszła tłącą się ściółkę. To ona jest najgroźniejsza. W niej długo potrafi zarzyć się niebezpieczeństwo. Cała okolica jest porośnięta tym suchym świństwem umiejącym płonąć niczym pochodnia. Od tego ostrokrzewu właśnie nazwano wzgórze: Hollywood.

- Możecie wjechać - pozwolił strażnik rozgrzebujący ziemię. - Jeśli gdzieś zauważycie snujący się dym, dajcie znać.

- Oczywiście - skinął głową Jupiter - jesteśmy odpowiedzialnymi ludźmi! - ostrożnie wyminął węzownice do podawania wody.

- Rozglądajcie się uważnie.

Bob i Pete kręcili szyjami, jakby je mieli na łożyskach kulkowych. Wszędzie pachniało stęchlizną i smrodkiem spalonej gumy. Ostrokrzewy, ładne gdy zielone, teraz zbrunatniałe wyglądały nieco metafizycznie.

Jupiter Jones prowadził ostrożnie. Wąwóz był wąski i cały zarośnięty. Asfaltowa nawierzchnia sporo ucierpiała. Od ognia lub ciężkich wozów strażackich. Na poboczu leżały luźne kamienie, które osunęły się ze zbocza. Pomimo słonecznego dnia w kanionie było ciemno i dość ponuro.

- Dlaczego zbudowała dom w takim miejscu? - zdziwił się Pete. - W Malibu jest tyle piękniejszych zakątków.

Bob wzruszył ramionami.

Artyści szukają ciszy i spokoju. Jak ktoś przez dwadzieścia godzin dziennie słucha wycia instrumentów z perkusją na czele, to przez pozostałe cztery godziny chce całkowitej ciszy. A gdzie ją znajdzie, jeśli nie na szczycie skały?

Podjeżdżali pod kamienne obmurowanie. Droga nieco się rozszerzała, tworząc cztery wygodne zatoki dla parkujących wozów.

- Mądrze pomyślane - zauważył Pete. - Wsiadamy.

- Nikogo nie ma - Bob rozglądał się uważnie. Czuł jakiś narastający niepokój, którego nie umiał zasufladkować. - Tu jest... dziwnie.

Jupiter wyjął kluczyki ze stacyjki. Ze smutkiem przyjrzał się zabłoconej karoserii.

- Trzeba będzie myć grata. Ludzie, jak ja tego nie lubię!

Wspinali się po stromej ścieżce porośniętej z obu stron krzakami mimozy. Tu już nie było ostrokrzewu. Inne, niegdyś ozdobne, drzewa wyglądały niesamowicie, z wyciągniętymi w niebo osmolonymi kikutami. Sam dom ocalał, choć kamień i zaprawa miały kolor brunatny. Najwyraźniej smugi ognia szły od strony obszernego tarasu. Spalił się dach, zawaliły kolumnienki, odsłoniło się pogruchothane wnętrze. Tu i ówdzie walały się jakieś stare gazety, zniszczone zdjęcia i na wpół spalona odzież. Trzeba było ostrożnie stawiać stopy, by nie wpaść do czegoś, co jeszcze kilka dni temu było garderobą pełną luksusowych sukien.

Jupiter szukał konkretnego: sejfu.

- Myślisz, że sejf też się spalił?

Pete podniósł różowe boa z piór. Owinął nim szyję.

- Wątpię. Na pewno był pusty, zanim podpalono dom. Czy wyglądam na gwiazdora?

- Raczej jak indyk przed Dniem Dziękczynienia.

Coś łomotnęło na zewnątrz. Chłopcy wstrzymali oddech. Spoglądali po sobie ze szczerym przerażeniem. Ani przez moment nie przyszło im do głowy, że w spalonym domu ktoś jeszcze może być.

- Ccco... to? - Bob przysiadł na piętach.

Pete podniósł z ziemi jakiś osmolony drąg. Wyglądał niczym gladiator szykujący się do walki na arenie.

Jedynie Jupiter Jones zachował jako tako zimną krew.

- Bob, na lewo, pod schody! Pete, zajmij pozycję koło dziury!

Zamarli w bezruchu czekając. Łomot się powtórzył. Teraz już wyraźnie słychać było kroki. Ktoś zląził z wypalonego doszczętnie piętra. Jeszcze moment i ciemna sylwetka wychynęła w miejscu, gdzie kiedyś był kominek.

- Ręce do góry! - wrzasnął Pete wystawiając dłoń z wysuniętym wskazującym palcem. - Policja!

- Ja... ja nic! Nie strzelajcie!

Jupiter położył dłoń na ramieniu Crenshawa.

- Pete, nie strzelaj. Pan prosi.

- To przecież... Sam Gomez! - Bob przyglądał się zakurzonemu chudzielcowi. - Co pan tu robi?

- A wy? Wcale nie jesteście policją! I nie macie broni! - chciał się wycofać, ale

pośliznął się nieszczęśliwie i runął przyduszony przez Pete'a.

- Nie jesteście policjantami, mister Gomez. Ale jest nas trzech. Trzech Słynnych Detektywów. Oto nasza wizytówka - podał kartonik zniszczony rozlaną wczoraj coca-colą. -Czego pan tu szuka?

- A wy?

- Śladów. Patrycja musiała mieć w domu dużo zdjęć. Chodzi nam o takie, na którym widniałby naszyjnik z pereł.

Sam Gomez uniósł w górę dłoń. Spojrzał łzawo na Crenshawa.

- Czy mógłbyś zsiąść ze mnie? Trochę bolą mnie plecy. Kręgosłup. Nadwyreżyłem przy kopaniu.

- Na Filipinach?

- Tak.

- Służę uprzejmie. Już zsiadam. - Pete, najsprawniejszy z detektywów, stanął obok kominka. A raczej czarnej dziury, która z niego została. - Nie odpowiedział pan na nasze pytanie. Co pan miał zamiar tu znaleźć? I czy to pan jest podpalaczem?

Sam Gomez zdjął czerwoną czapkę. Miętosił ją w spracowanych dłoniach, nie wiedząc jak się zachować.

- Boże uchowaj! Nie jestem podpalaczem. Prawdę mówiąc, nie wiem, czego szukam. Dowiedziałem się o pożarze i...

Jupiter zamyślił się.

- Szczera odpowiedź. Pereł tu nie ma. Patrycja wyjechała zabrawszy ze sobą klejnoty. Nigdy się bez nich nie rusza. W Sun-Press był artykuł o jej trasie koncertowej po Europie.

Sam ostrożnie podnosił się z gruzowiska. Lekko zgarbiony, z łzawą miną, wcale nie przypominał szczęśliwca, który odkopał dwie sztaby złota.

- Wywiozła - powtórzył wykrzywiając twarz.

Kręgosłup rzeczywiście musiał go boleć, bo oparł się o nadpaloną framugę po niegdysiejszych drzwiach. Ruch, który zrobił, okazał się tak nieszczęśliwy, że spowodował następną katastrofę budowlaną. Osłabiona ogniem framuga pociągnęła za sobą spory kawałek muru. Chłopcy przytomnie uskoczyli, ale Sam Gomez znalazł się... w piwnicy. I to wcale nie z własnej woli.

Pete ostrożnie zajrzał do dołu. Kurz unosił się w powietrzu i utrudniał oddychanie. Nie wspominając o widoczności. Tej zwyczajnie nie było.

- Panie Gomez! - ryknął Bob, balansując niebezpiecznie nad krawędzią urwiska.

- Ua, ua, ua - odparł poszkodowany lub piwniczne echo. Tego detektywi nie wiedzieli. Jeszcze nie.

- Trzeba zejść na dół - warknął zde gustowany Jupiter. Poszukiwanie skarbu skończyło się odkopywaniem zaginionego Gomeza. Pech. Prawdziwy pech.

- Jak zejdziemy, kiedy tu nic nie widać? Masz w wozie latarkę?

- Zawsze mam w samochodzie wszystko, czego potrzebuje Pierwszy Detektyw Ameryki. Także sznurową drabinę. Panie Gomez! Żyje pan?

Głos dochodzący z dna piekiel brzmiał podejrzenie:

- Yję. Ale o o za ycie!

- W porządku. Ważne, że nie zginął na miejscu. - Pete uważnie wypróbował osypujący się gruz. - Nie można nic ruszyć. Kamienie, spadając, mogłyby rozbić mu głowę. O ile jeszcze ją ma. Bob!

- Jestem.

- Przytrzymaj tutaj. Spróbuję położyć się na brzuchu. Może coś zobaczę.

Ale nieprzeniknione ciemności nie pozwoliły na penetrację. Stali nad dziurą, czekając, aż wróci Jupiter.

- Może należałoby zawiadomić strażaków? - wyszeptał przerażony Bob. - Jeszcze tam pewnie są, na dole.

Pete był sceptyczny.

- Wtedy nie obejdzie się bez policji. Wszystkich nas wezmą na przesłuchanie. Po co tu przyjechaliśmy, kim jest Sam Gomez, czego szukaliśmy w gruzowisku i takie tam... dyrdymałki. Hej, słyszałeś? Ktoś jest na górze! Na dachu!

Bob uniósł głowę.

- Dachu nie ma. Nie panikuj. Pewnie wraca Jupiter.

Ale dwa strzały oddane ze sporej odległości nie były fantazją. Pół metra nad głową Boba rozprysł się tynk. Oba pociski utknęły w zaprawie pomiędzy kamieniami. Chłopcy zamarli ze zgrozy. Odgłos oddalających się kroków był jak najbardziej realny.

- Co się dzieje? Czemu rozpląszczyliście się w kurzu? - Jupiter obładowany sprzętem ratowniczym ostrożnie stawiał stopy.

- Strze... strzelali! Ktoś do nas strzelał!

Jupiter zmarszczył brwi. Znał swoich przyjaciół i wiedział, że co jak co, ale potrafią odróżnić wystrzał z broni od padającego gradu. Bez słowa obejrzał miejsce, gdzie utkwili oba pociski.

- Kto to mógł być? Przecież Sam jest w piwnicy! - Pete gestykulował wpatrując

się w resztkę ściany, z której Jupiter wydłubywał pociski.

- O centymetr od mojej głowy! - zaczął Andrews, bez sensu otrzepując kurz, który na dobre przylgął do dżinsów.

- O metr - wysapał Jupiter. - Ten ktoś był marnym strzelcem. Albo chciał nas tylko wystraszyć. Dokąd pobiegł?

Pete oddychał głęboko. Jako pierwszy wrócił do równowagi.

- Na mój rozum ktoś strzelał z piętra. A raczej z górnego tarasu. I tamtędy zwiął. Jupiter zahaczył sznur o balustradę. Lekka drabinka bezpiecznie spłynęła w czerń dziury.

- Pete, robota dla ciebie. Jesteś najsprawniejszy z nas. Tu masz latarkę. Nie, nie bierz do ręki! Powieś na szyi. Ja poświęcę drugą. Z góry.

- A zabójca? Nie łapiemy drania, który do nas strzelał? - Bob rozmazał smugi sadzy po obu policzkach. Wyglądał jak Rambo.

- Spoko, Bob - Jupiter puścił ostry słup światła w głąb piwnicy - Już dawno zwiął. Teraz trzeba ratować człowieka!

Bob miał obrażoną minę, ale pomógł Jupiterowi podtrzymywać chwiejącą się drabinkę.

- No? Co tam?

Pełgające na dole światelko wydobywało z cienia kształty i kolory.

- To jest studio, żadna piwnica. Jest też Sam. Ma zakrwawioną twarz. Hej, Sam, żyjesz?

- Przecież wiemy, że żyje! - zdenerwował się Bob. - Raczej pytaj, czy może się ruszać!

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Ale rumor, jaki dochodził z dziury, wskazywał na zmaganie się dwóch ciał.

- Jest potłuczony. Ale chyba cały. Tu jest...

- Co? Co tam jest? - Jupiter z Bobem zderzyli się głowami. Ale niczego się nie dowiedzieli. Łomoty przesunęły się gdzieś dalej, a minutę później rozległ się silny akord fortepianu, dołączyły instrumenty strunowe i słodki, seksowny kobiecy głos zanucił: "Oh, my love..."

Jupiter spojrzał na Boba.

- To głos Patrycji Mc Grove!

Andrews otarł spocone czoło. Z czarnymi smugami, w zakurzonej kurtce wyglądał niczym najemnik w wietnamskiej dżungli.

- Kaseta. Albo CD. W piwnicy, oprócz butelek z winem, jest zapewne małe studio fonograficzne. Innego wytłumaczenia nie ma.

- Pete! Pete Crenshaw! Odezwij się!

Błysnęło światło latarki. Pete pojawił się z otwartą puszką oranżady.

- W porządku. Posadziłem Sama. Pomału przychodzi do siebie. Wyjście jest z drugiej strony. Nie trzeba będzie wciągać go po drabinie. Musimy je tylko otworzyć. Sam nie poradzę sobie z zasuwą. Złaźcie! To fantastyczne miejsce. I, o dziwo, mało zniszczone.

Bob natychmiast chwycił sznury. Jupiter sceptycznie spoglądał w dół.

- Ja nie dam rady...

- Musisz. Razem z Bobem przytrzymamy drabinkę. Gdybyś nie żarł tylu ciasteczek...

Jupiter przygryzł usta. Jeszcze moment, a nazwą go "Małym Tłuscioszkiem"! Zamknął oczy i kurczowo chwycił się drabinki. Zejście nie trwało długo, ale spocił się jak mysz. Wnętrze, w którym się znalazł, w pierwszej chwili wydawało się jak ze złego snu. O ile architekt budujący willę na czubku skały miał wizję z dwudziestego pierwszego wieku, to piwnica a raczej studio muzyczne, przypominało cyrkową przyczepę. Z mroku wyłaniały się sprzęty pomalowane na jaskrawoczerwony kolor. Ściany z surowego kamienia oblepione były plakatami. Z każdego spoglądała słynna Murzynka z włosami zaplecionymi w milion warkoczyków. Niekiedy uśmiech Patrycji przywodził na myśl paszczę rekina. Jupiter nie mógł oderwać wzroku od piosenkarki. Przepastne, czarne oczy, silny makijaż i ciepłobrunatna skóra tworzyły wybuchową mieszankę seksu i dziecięcej świeżości.

- Na żadnym z portretów nie ma pereł. Jakies inne świecidełka.

- Szkoda. Może znajdziemy album. Z trasy koncertowej. - Pete poruszał się po studiu, jakby to była jego własna kuchnia. - Mam tu puszki z piwem i coca-colą. Aż dziw, że nie strawił ich pożar!

Sam Gomez jęknął. Siedział na lekko tylko zakurzonym, skórzanym pufie, trzymając się za głowę.

- Chcę stąd wyjść.

Chłopcy ocknęli się.

- Jasne. Zaraz zabierzemy pana do szpitala. - Jupiter znów był przywódcą. - Wrócimy jutro.

## ROZDZIAŁ 4

### CO ZNAJDOWAŁO SIĘ W SZKATUŁCE?

I to był największy błąd. Przekonali się o tym, gdy następnego dnia zaparkowali forda w jednej z zatok. Poruszali się ostrożnie, lecz szybko. Znając już układ wnętrza, nie tracili niepotrzebnie czasu. Jednakże otwarcie żelaznych drzwi, prowadzących do podziemi, okazało się niewykonalne.

- Co jest? - zdziwił się Bob. - Przecież wczoraj odryglowaliśmy od wewnątrz.

Jupiter Jones skubał wargę.

- Tu są ślady, panowie detektywi. Ktoś był przed nami.

- I najwyraźniej nie chce, byśmy dostali się do studia. Tylko dlaczego? - Pete przestępował z nogi na nogę. - Cóż, trzeba znów skorzystać ze sznurowej drabinki. Co, Jupe?

Pierwszy Detektyw jęknął głucho.

- Za jakie grzechy...

Udało się nad podziw sprawnie. Gdy blask silnych latarek rozjaśnił ciemne wnętrze, miny chłopców zrzedły.

- Niczego tu nie ma. Nawet butelek.

Jupiter wodził promieniem światła po ścianach.

- Zniknęły wszystkie plakaty. Dlaczego?

Bob żuł gumę. Po chwili wystękał:

- Na jednym ze zdjęć miała na szyi sznur pereł. Stało w ramkach na konsolcie.

Jupiter i Pete o mało nie zemdleli z wrażenia.

- Teraz to mówisz? Teraz?

Bob skulił ramiona.

- Dostrzegłem je w ostatniej chwili. Wyciągaliśmy Sama. Potem długo walczyliśmy z zasuwą. No, zupełnie mi wyleciało z głowy!

- To nie jego wina - bronił kolegi Crenshaw. - Wczoraj najważniejszą sprawą było zawiezenie Sama Gomeza do szpitala. To nie jego błąd, że klinika w Rocky Beach go nie chciała!

- Raczej to, że nie mógł za nią zapłacić - warknął Jupiter.

- Skutek był taki, że trzeba go było wieźć do Santa Monica. Zajmowaliśmy się chorym, sądząc naiwnie, że tu nic złego się nie stanie.

- Ale się stało. - Pete węszył niczym pies policyjny. - Ten ktoś był sam. Spójrzcie na ślady. W kurzu wyraźnie odbiły się rzeźby podeszew. Wyglądają na adidasy.

- My też nosimy adidasy!

- Ale on miał nogę jak słoń! I był wysokim mężczyzną.

- Piekielna "Długa Stopa"! - Jupiter bacznie oświetlał miejsce, gdzie wczoraj jeszcze stała droga muzyczna aparatura. - Żeby nie było na nas!

Nic mieli nic więcej do roboty w czarnej dziurze, śmierdzącej, jak wszystko w tym domu, spalenizną. Wyjść musieli, niestety, po sznurowej drabince. Żelazne drzwi ktoś dokładnie zaspawał.

- Ale jesteś gruby! - jęczał Bob przytrzymując oburącz sznury. - Jeśli jeszcze raz zobaczę, że gryziesz chipsy, zastrajkuję.

Jupiter nie odpowiedział. Sapał niczym kowalski miech, czerwieniejąc i blednąc na przemian.

- Co teraz?

Pete nie tracił czasu. Ze zgliszcza szafy drągiem wygrzebał osmalone pudło. Aż dziw, że nie spłonęło doszczętnie.

- Sprawdzimy, co to.

Wyłamanie zamka nie przedstawiało trudu.

- Zdjęcia! I coś jeszcze.

- Co?

- Chyba... pamiętnik!

Jupiter znów przejął dowodzenie.

- Zabieramy!

Bob miał skrupuły.

- Ale to... cudza własność, Jupe.

Pierwszy Detektyw groźnie zmarszczył brwi.

- Wiem. Tam, na dole, to też była cudza własność. I ktoś ją zwinął.

- Nie my - słabo bronił się zmieszany Bob.

- I źle zrobiliśmy! U nas, w Kwaterze Głównej, nic by nie przepadło. Moglibyśmy wszystko zwrócić piosenkarce. A tamten?

Pete zbiegał przeskakując z kamienia na kamień. Ostrożnie trzymał pudło, jakby w nim znajdował się odbezpieczony granat. Zawołał do ociągającej się dwójki:

- Przejrzemy zdjęcia i oddamy. Jak Patrycja wróci.

To zadecydowało. Było do zaakceptowania nawet przez superpraworządnego



Boba.

Zjeżdżali wolniutko, popatrując na boki. Tu i ówdzie snuły się jeszcze smugi dymu.

- Trzeba dać znać strażakom. Te piekielne ostrokrzewy mogą się na nowo zatlić.

W Kwaterze Głównej pochylili się nad zdobyczą. Oprócz kolorowych fotografii Patrycji i jej licznych przyjaciół znaleźli złożoną we czworo karteczkę z kilkoma cyframi.

- Rachunek? Za światło i gaz?

- Bzdura! - warknął Jupiter. - Tam nie ma gazu. To mi raczej wygląda na szyfr...  
Ich głowy zetknęły się.

- Dwa, szesnaście, osiem... szesnaście. I dwanaście.

Jupiter znów skubał wargę.

- Szyfr bankowy? W każdym razie to coś ważnego. Inaczej nie trzymałaby tego w zamknięciu.

- A te fotki? - Bob rozłożył w wachlarz kilka portretów. - Same kobiety. Spójrzcie, jaką mają na sobie biżuterię! Jeśli jest prawdziwa... muszą być milionerkami!

- Perły... - wysapał nagle Jupiter szturchając palcem. - Naszyjnik z białych i czarnych pereł.

Pete strącił spocony paluch przyjaciela.

- Skądś znam tę twarz.

Bob przyglądał się tęgawej blondynie o sztucznym uśmiechu. Nagle zerwał się i usiadł przed komputerem. Włączył internet. Chwilę szukał, pieklił się i znów szperał.

- Mam! - wrzasnął. - Wiedziałem, że to ktoś z polityki. Żona generała Marcosa.

- Byłego prezydenta Filipin? To znaczy... że była jedną z poprzednich właścicielek naszyjnika. Możliwe, że te inne również. To punkt dla nas. I dla Patrycji!

- Dlaczego?

- Musi wiedzieć o skarbie. Może dlatego kupiła perły? Szkoda, że na tym zdjęciu są takie niewyraźne. Nie da się policzyć białych. Czarnych, zresztą, także nie.

Cała trójka zamarła z wrażenia. Historia, nad którą pracowali w pocie czoła, zakreślała coraz szersze kręgi. Czy sprostają sprawie tak skomplikowanej?

Dwa dni później Jupiter jadł zapiekanekę ze szpinaku, którą ciotka Matylda

przygotowywała, gdy już nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Telefon! - zawołał wuj Tytus. - Do ciebie.

Jupiter przyłożył ucho do słuchawki.

- Co jest?

- Zgadza się. Sprawdziłem w bibliotece. Pierwsza dama to żona Marcosa. Druga jest siostrzenicą cesarzowej Iranu... - szemrał Bob.

- Zlituj się! - warknął Jupiter, wydłubując szpinak spomiędzy zębów. - Nawet ja wiem, że w Iranie już od dawna nie istnieje cesarstwo.

- Uspokój się! - wrzasnął Bob, aż w słuchawce zadudniło. - Też to wiem! Ale cesarzowa Farah Diba żyje do dziś. Jej dzieci też. A siostrzenica kupiła perły w Stanach. Już po ucieczce z Iranu.

- W porządku, przepraszam - Jupiter czuł, że przesadził. Bob był o niebo lepszy w te historyczne klocki. - A reszta bab?

- Dotarłem do wszystkich. Na londyńskiej aukcji Sotheby's perły kupiła niegdyś znana producentka kosmetyków z Paryża. Nazywa się Roma Dardy. Razem cztery.

- Wspaniale - powiedział Jupiter z podziwem w głosie. - Naprawdę.

- Piękne dzięki. Ale mnie nurtuje taki fakt: po co fotografie poprzednich właścicielek naszyjnika wypełniają pudło Patrycji? Dlaczego zadała sobie trud ich zebrania?

- Lub kto jej to dał? - dorzucił Jupe.

- Właśnie. I co oznaczają cyfry na karteluszkach. Bo, że są ważne, w to nie wątpię. Pierwszy Detektyw spoglądał ponuro w stronę stygnącego szpinaku.

- Trzeba to przemyśleć, Bob. Możemy się spotkać jutro?

- Niestety. Muszę przygotować dla ojca materiały na konferencję prasową dotyczącą przyszłości zatoki. Chodzi o ruiny doków.

Jupe poczuł gęsią skórę na ramionach.

- Chodzi o nasze doki? O Kwaterę Główną?

- Właśnie. Ale nie panikuj. Zawsze możemy wrócić do starej przyczepy w składzie złomu ciotki Matyldy!

- Nigdy! - wysapał Jupe. - Cześć.

- Cześć.

Zapiekanica zmieniła nie tylko smak. Także kolor. Zrobiła się szarobura. Jupiter, zgrzytając zębami, dopychał pusty żołądek bułką z masłem orzechowym.

## ROZDZIAŁ 5

### KIM JEST TOYA LA ROHA?

Wyglądało na to, że w spalonej willi na skale nic się już nie dzieje. Ale to nie była prawda. Strażacy dogasili wprawdzie ostatnie ogniska w tłących się zaroślach, ale do pracy musieli przystąpić policjanci z posterunku w Malibu. Powodem akcji był list, a raczej anonim bez nadawcy. A także zgłoszenie Trzech Detektywów.

- Myślisz, że musimy o tym powiedzieć Wilsonowi? - zastanawiał się Pete.

Bob z miną nieugiętą siedział na stołku na wprost okna.

- Ojciec twierdzi, że musimy.

- No tak. Wszędobylska prasa zawsze zrobi sensację. - Jupiter gryzł słone ciasteczko. Z torby, którą wczoraj zostawiła Vanessa. - Czy musiałeś wszystko rozgadać?

Bob wyduł wargi.

- Nie żartuj! Ojciec dowiedział się z raportu straży. Nie sądzisz chyba, że udałoby się zachować w tajemnicy pożar willi w Malibu.

Pete wzruszył ramionami.

- Fakt. Na dodatek właścicielka wyjechała na turnee po Europie. A jej adwokaci oskarżyli policję z Malibu o niedopełnienie obowiązków.

Jupiter zerknął do torby. Była prawie pusta. Wstał z chybotliwego krzesła i wetknął nos do lodówki. Działała od wczoraj. Tylko nikt nie pomyślał, by kupić coś do picia. Z westchnieniem zatrzasnął drzwiczki.

- W takim razie jedziemy do Wilsona. Lepiej mieć go z głowy.

Pół godziny później siedzieli na posterunku w Rocky Beach. Mat Wilson, duży mężczyzna o siwiejących skroniach, miał wąskie oczy i ciężkie powieki.

- Nagrywam was, chłopcy. Nie macie nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. Znamy procedurę. W końcu jesteśmy detektywami, którzy od lat współpracują z policją.

Mat skinął głową pociągając łyk piwa z puszki.

- No to, jazda.

- Nic nie powiedziałeś o... skrzyneczce - wysapał Bob, gdy już opuszczali posterunek.

Jupiter prowadził wóz drogą 27 w kierunku Topangi. Myślał wciąż o zdjęciach kobiet, które niegdyś posiadały drogocenny naszyjnik.

- Zapomniałem.

Bob wytrzeszczył oczy.

- Zapomniałeś? O najważniejszym dowodzie?

Pete wyciągnął się na tylnym siedzeniu.

Najważniejsze dowody zostały spalone lub zrabowane z piwnicy! Bob, czy ty aby nie przesadzasz?

Andrews zaciął wargi.

- Tato twierdzi, że nigdy nie wiadomo, który dowód okaże się najważniejszy. A ma niezłe rozeznanie. Sun-Press jest od dawna gazetą wykrywającą największe afery południowej Kalifornii. Więc proszę cię, Jupiter, nie wmawiaj mi dziecka na plecach. Wcale nie zapomniałeś o skrzyneczce. Ani o zdjęciach.

Jupiter zwolnił. Topanga leżała na północ od Malibu. Mieszkali tam ludzie bogaci. Jedną z tych osób zamierzał właśnie odwiedzić.

- Dobrze. Przyznaję się. Bo to my prowadzimy dochodzenie w sprawie Sama Gomeza. Czy tak?

- Tak.

- Niech więc policja robi swoje, a my swoje. W porządku, Bob?

Andrews skinął głową. Bo co miał zrobić innego? Przyjaźń, jak wiadomo, wymaga lojalności. Rozejrzał się tylko zdziwiony po okolicy.

- Czego my tu szukamy?

- Siostrzenicy, naturalnie. - Jupiter ostrożnie wjechał w aleję zarośniętą kwitnącymi krzakami hibiskusa. - Numer siódmy. To tu.

- Czyjej siostrzenicy? - spytał Pete. Wyraźnie nie nadał za pomysłami szefa grupy.

Jupiter wyjął zdjęcie.

- Jej. Poznajesz?

Z białego kartonika spoglądała piękna twarz kobieca. Przepastne oczy, nieco ostre rysy i lekko wystające kości policzkowe wskazywały na orientalne pochodzenie.

- Toya la Roha. Persjanka. Siostrzenica byłej cesarzowej Iranu.

Bob otworzył usta i długo nie mógł ich zamknąć.

- Skąd... skąd wiedziałeś, że mieszka w Kalifornii?

Pete otworzył drzwiczki. Jego muskularne nogi nie wytrzymały długiego

siedzenia w samochodzie. Wolał rower.

- Powiedz mu, Jupe. Ma prawo wiedzieć. W końcu do niego należy prowadzenie całej dokumentacji.

Jupiter oparł się o zagłówek.

- Przypadek. Rozmawiałem z wujem Tytusem. To on mi dał namiar na kilku Irańczyków, którzy prowadzą restaurację. Byłem u nich. Mili faceci.

- Pewnie są szpiegami fundamentalistów! - burknął Bob. Nie był zadowolony, że Jupe go uprzedził.

Jupiter Jones wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Całkiem możliwe, że uciekli z Iranu przed prześladowaniami. Nieważne. Dość, że od nich dowiedziałem się o Toi. Ma już swoje lata i duże konto w banku. Nie kontaktuje się z resztą rodziny szacha. Może dlatego, że wyszła za mąż za latynosa. Mieszka tu od dziewięciu lat. Sama. Pedro la Roha zmarł w dziwnych okolicznościach.

- Zjadł coś na przystawkę?

- Utonął we własnym basenie.

Bob wypuścił powietrze z płuc.

- Bardzo śmieszne. Coś jeszcze równie wesołego?

Jupiter nie zdążył odpowiedzieć. Elektronicznie otwierany zamek metalowego ogrodzenia o wysokich, złożonych sztachetach zadziałał. Zielony, wiekowy pontiac prowadzony przez kobietę w szerokim kapeluszu wytknął nos na wąską uliczkę i stanął.

- Cofnij forda! - krzyknął Pete widząc zdumiony wzrok kobiety. - Przez twojego grata nie może wyjechać!

Ale Jupiter miał swój plan. Z wargami rozciągniętymi od ucha do ucha podszedł zaglądając w opuszczoną do połowy szybę.

- Dzień dobry. Jestem jednym z trzech sławnych detektywów. Oto wizytówka.

Kobieta rozejrzała się, wyraźnie spłoszona.

- Czy to napad? - wyjąkała.

Bob i Pete przyćwiałowali na pomoc.

- Nic podobnego, szanowna pani! Prowadzimy pewną sprawę... chcieliśmy tylko zadać trzy pytania. W związku ze spaloną willą w Malibu.

W oczach kobiety zabłysł strach.

- Nic o tym nie wiem! Nie chcę mieć nic wspólnego z tym okropnym

naszyjnikiem. Sprzedałam go, bo mi grozili śmiercią!

- Kto? - zdziwił się Pete. Miał tak sympatyczny uśmiech, że Toya la Roha, bo ona to była we własnej osobie, przestała się na chwilę bać.

- Źli ludzie. Źli Japończycy. Wypadek mojego męża o tym świadczy. Bo niby skąd znalazł się kabel z prądem w basenie? Zaraz potem jak japońska firma go wyczyściła?

Jupiter kiwał głową ze zrozumieniem.

- Perły sprzedała pani już po... tragedii?

- Naturalnie. Murzyńskiej piosenkarce.

- Patrycji Mc Grove?

- Tak. Długo będziecie mnie tu trzymać?

Jupiter wyjął kluczyki z kieszeni.

- Już się wycofuję... tylko - zawahał się - czy może nam pani powiedzieć, co oznaczają cyfry: dwa, szesnaście, osiem, szesnaście i dwanaście?

Kobieta zdjęła ciemne okulary.

- To jakaś gra? Numery totolotka? Powinam postawić w kasynie?

Bob głośno westchnął.

- Nie sądzę, proszę pani. Czy na perłach były jakieś znaki?

- Co? - Toya la Roha uspokoiła się słysząc, jak Jupe włącza silnik ford. - No... miały pewien wzór. Układ czarnych i białych. Och, były tak kosztowne, że nigdy nie odważyłam się ich założyć. Ale...

- Co? - Bob nachylił głowę.

- Na płaskim zameczku... teraz to sobie przypominam... były wyryte jakieś znaki. Mogę już jechać?

Pete i Bob grzecznie ustąpili z drogi. Za chwilę zielona limuzyna zjeżdżała w dół, kierując się ku Pacyfikowi.

Chłopcy usiedli na murku.

- I co?

- I nic. Nie jesteśmy mądrzejsi ani o centymetr.

Bob skrobał paznokciem starą plamę na kolanie.

- Wiemy, że na zameczku były znaki. Tylko nie wiemy jakie. Ale to już coś.

Jupiter Jones wachał zwisający mu nad nosem kwiat czerwonego hibiskusa.

- Może jest gdzieś... lub była kopia naszyjnika? Skoro kosztuje majątek, i nawet pani Toya bała się go nosić...

Pete zerwał się z murka.

- Nie sprawdzimy tego tutaj. Jedźmy!

- Jestem taki głodny - mruknął Jupiter wstając. - Obiad u ciotki już pachnie.

Aha... zapomniałem wam powiedzieć. Wysłałem w naszym imieniu hasło na konkurs.

- Jaki?

- Masz kurzą pamięć, Pete. Jedno hasło od Trzech Detektywów. Vanessa posłała piętnaście. Ale moim zdaniem żadne nie ma szans.

- A twoje?

Jupiter roześmiał się.

- Zobaczymy. Nie chcę zapeszyć.

Ciotka Matylda oprócz kurczaka z frytkami miała dla detektywów również zadanie do wykonania.

- Zabierzecie sobie tę kanapę spod płotu, albo ją dziś chłopcy wywiozą na śmietnik!

- Tę czerwoną? Nikt jej nie kupił, bo ma siedzenie pokrojone nożem! - Pete bronił się przed kompletnym zagraceniem Kwatery Głównej. - Po co nam kanapa?

Ciotka Matylda wzruszyła ramionami.

- Jupe chciał. Od kiedy się dowiedział, do kogo należała...

Pete i Bob porzucili ogryzane właśnie udka. Z rozcapierzonymi palcami pokrytymi tłuszczem spoglądali na Jupitera niczym prestidigitatorzy przed wyciągnięciem królika z cylindra.

- A do kogo należała?

- Do Toi la Roha. Po śmierci męża zmieniła w willi część umeblowania.

Chłopcy wciąż patrzyli szeroko otwartymi oczami. Pierwszy milczenie Bob.

- Przecież jej mąż utopił się kilka lat temu. Skąd więc kanapa znalazła się w waszym składzie złomu dopiero teraz?

Jupiter zaklaskał w dłonie.

- Brawo, Bob! Jesteś lepszy niż myślałem! Otóż wyobraź sobie, że nasza czerwona kanapa przez jakiś czas stała sobie nie gdzie indziej, tylko w słynnym kinie Mann's Chinese Theatre. Na zapleczu...

Pete otworzył usta i szybko je zamknął. Jego umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach.

- Chcesz powiedzieć... no, chcesz powiedzieć, że właścicielem tego czerwonego

skórzanego paskudztwa był...

- Nasz stary przyjaciel. Affley Buck. Były mąż Patrycji!

Jupiter z uśmiechem kiwał głową. Podobało mu się, że jego dwaj detektywi rozumują prawidłowo.

- Tak. Przedwczoraj wystawił ją do zabrania. A nasza ciężarówka przywiozła tutaj. Tak było, ciociu?

Ciotka Matylda stawiała na stole ciasto rabarbarowe.

- Tak. Skupujemy te rzeczy za grosze. A potem często, po naprawieniu, odsprzedajemy z zyskiem. Ale pozszywanie kanapy nie oplaca się. Zresztą... Jupe tak się nią zachwyił.

Pierwszy Detektyw połknął spory kęs ciasta. Aż dziw, że się nie zakrztusił.

- Przyjrzyjcie się uważnie tym nacięciom. Nie są bezsensowne. Najwyraźniej ktoś czegoś szukał we wnętrzu mebla.

- Ciekawe kto? - Bob kruszył ciasto widelczykiem. - Toya la Roha czy... Affley?

Jupiter rozłożył ręce. Jego szczęki pracowicie miały deser. Pete pił sok z wysokiej szklanki. Nie jadał słodczy, by zachować wysportowaną sylwetkę.

- Jak przewieziemy to чудо?

- Chyba pozwolę wam wziąć naszą półciężarówkę - powiedziała ciotka Matylda.

- Ale za to załadujecie drugą rzeczami dla pani Tripple. Wybrała sporo staroci, lubi je. I ma taki wielki, stary dom!

Chłopcy spojrzeli po sobie. Od dzieciństwa przyzwyczajeni byli do rozkazów ciotki Matyldy.

- W porządku.



## ROZDZIAŁ 6

### CZY SAMOLOTY LĄDUJĄ PRZED STARTEM?

Kilka dni później Jupiter Jones siedział na czerwonej kanapie ustawionej pod pustą ścianą. Nogi miał oparte o poręcz, zaś dłoń zgłębioną w torbie cebulowych chipsów. Kiedy zadzwonił telefon, zwlókł się niezbyt chętnie.

- Wygrałem? - zdziwił się, gdy nieznany męski głos oznajmił nowinę. - Naprawdę wygrałem konkurs American Airlines?

Głos, nieco zbyt cukierkowy, milutko ciurkał do ucha. Wstrząśnięty do głębi Jupe wolno odłożył słuchawkę. A potem wykonał coś w rodzaju wojennego tańca Indian ze szczepu Zuwi.

Kiedy Pete Crenshaw zajrzał przez okno, przestraszył się nie na żarty. Widok grubawego Jupitera wymachującego nogami był, w samej rzeczy, niecodzienny.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, otwierając skrzypiące drzwi.

Jupiter podskoczył jeszcze dwa razy, a następnie z głuchym stęknięciem opadł na kanapę. Jego twarz miała ten sam kolor, co pocięte nożem poduszki.

- Wygrałem! - wymamrotał nie mogąc schwytać tchu.

- Co wygraliśmy?

Pierwszy Detektyw oddychał coraz wolniej. Czoło z czerwonego stało się znów białe.

- Konkurs. Na hasło reklamowe dla linii lotniczych American Airlines. Dają nam trzy bezpłatne bilety do każdego miejsca na ziemi, jeśli tam latają, naturalnie. I po trzy tysiące dolarów na głowę!

Pete oniemiał. Stał jak przymurowany. W końcu podszedł do kanapy, by uścisnąć spracowaną dłoń zwycięzcy.

- To...to niebywałe! Zawsze wiedziałem, że miewasz genialne pomysły, ale... nie sądziłem, że...

Bob wpadł niczym bomba z odbezpieczonym zapłonem.

- Już wiem! Radio podało w południe! Wygraliśmy! Powiedz, jak brzmi hasło?

Jupiter musiał podejść do telefonu. Dzwonili różni znajomi i nieznajomi ludzie. Także Vanessa.

- Przykro mi, że to nie ty - powiedział obłudnie. - Ale przyślemy ci kartkę z Europy.

Pete z Bobem wymienili spojrzenia.

- Chcesz lecieć do Europy?

Jupiter zdecydowanie wyjął sznur z gniazdka. Teraz telefon umilkł na dobre.

- Słuchajcie. To znak. Nie wiem skąd, ale znak.

- Jaki?

- Że musimy wyjaśnić sprawę skarbu. To znaczy - precyzował - rozwiązać zagadkę perłowego naszyjnika. Nie chodzi o kopanie złota na Filipinach. Na to nie mamy szans. Sami wiecie. Ale odnalezienie wszystkich znaków, ścieżek, zakrętów... oto czego dokonają Trzej Detektywi! Dlatego lecimy do Europy. W ślad za Patrycją Mc Grove. Zgoda?

- Sama wyprawa jest taka... taka... - Pete szukał słów. - Ekscytująca!

- Bob - zwrócił się Jupiter do przyjaciela - ty wyśledzisz całą trasę koncertową piosenkarki. Ty, Pete, masz za zadanie... - zawiesił głos. - No, jeszcze nie wiem. Ale pewnie będzie trudne.

Obaj chłopcy skinęli głowami. Żaden z nich nie leciał samolotem dalej niż do San Francisco. A tu... Europa! Stary Kontynent!

Rozstali się w euforii. Żaden nie miał cienia wątpliwości, że się uda. Cóż, Trzej Detektywi nie po raz pierwszy wkroczyli do akcji. Tyle, że tym razem trasa wiodła za Ocean. I to Atlantycki.

Jupe zatrzymał samochód na czerwonym świetle. Przez przypadek zerknął na ogromny bill-board wylaniający się za skrzyżowaniem. Serce zabiło mu z dumy, gdy przeczytał: UWIELBIAM AMERICAN AIRLINES! ICH SAMOLOTY LĄDUJĄ PRZED STARTEM!

- Dobre hasło! - szepnął. - Moje! - ruszył ponaglany klaksonami. Jechał po kolegów. A wszyscy razem do międzynarodowego portu lotniczego Los Angeles. Przez słynny bulwar Lincolna. To się nazywa mieć szczęście.

Bob z czarną torbą pełną dokumentów czekał już przed domem. Zza ogrodzenia dochodziło szczekanie Bonny, małej suczki uwielbianej przez całą rodzinę Andrewsów.

- Hej. Jak się czuje zwycięzca?

Jupiter wypiął pierś.

- Wspaniale. Masz coś nowego?

Bob zapiął pas bezpieczeństwa.

- Mam. Nasza piosenkarka jest dziś w Madrycie. To w Hiszpanii - dorzucił.

Jupe uśmiechnął się pod nosem.

- Wiem, co to Madryt. Na litość boską, uczyłem się geografii. Tam polecimy?

Bob pokręcił głową.

- Nie. Chyba zdążymy ją dopaść dopiero - zaszeleścił papierami - w Warszawie.

- Gdzie?

- Polska. Kraj między Niemcami a Rosją.

Jupiter przyspieszył. Cóż. Nie każdy wie, gdzie leży Polska. Z Hiszpanią nie było problemu. Zapamiętał walki byków. Ale Warszawa? Nic o niej nie wiedział. Nic a nic. I to mu się podobało!

- Nie wiem, co powiedzieć - wystękał. - Dopóki nie wypłyną nowe fakty...

- Właśnie wypłynęły - przerwał mu Bob sucho. - W zatoce. Zwłoki.

Jupiter, na szczęście, nie wykonał żadnego zbędnego ruchu kierownicą, co na autostradzie do Los Angeles nie było wskazane.

- Czyje zwłoki?

- Sama Gomeza.

Wręczenie nagrody odbywało się niezwykle uroczyście. Były kamery telewizyjne NBC, lokalne rozgłośnie radiowe, cała dyrekcja linii lotniczych i mnóstwo dziennikarzy. Także papa Andrews z Sun-Press. Chłopcy mizdrzyli się w światłach reflektorów i gadali niczym nakręcone zabawki. O wszystkim: lekturach, muzyce i ukochanej Agencji Detektywistycznej. Z tej okazji masowo rozdawali nieco sfatygowane wizytówki.

- Dokąd polecicie? - pytał prezenter Telewizji Los Angeles.

- To tajemnica - odparł szybko Jupiter Jones. W ten sposób dał znak pozostałym detektywom, że mają milczeć. Bał się, by nikt przedwcześnie się nie wygadał. Sprawa nie była ani łatwa, ani dość solidnie przygotowana. Mówiąc szczerze, pracowali nieco chaotycznie. Ale teraz wszystko musi się zmienić. Tym bardziej że zleceniodawca zginął. Sam Gomez, facet, który dokopał się dwóch sztab złota na Filipinach, właśnie utonął w zatoce. Prawdziwy pech. A może nie pech? Tylko zwykłe morderstwo? Może ktoś w ten sposób raz na zawsze usuwał konkurencję? Ale kto?

- Dostaniemy bilety open - powiedział Bob. - Możemy więc wykupić lot w każdej chwili. Także powrotny.

Reflektory pomału gasły. Goście się rozchodzili. Miłe stewardessy w służbowych mundurkach wręczały kwiaty.

- Wracasz ze mną, Bob - powiedział senior Andrews chowając reporterski magnetofon. - Musimy porozmawiać.

Bob spojrział błagalnie na Jupitera.

- W porządku, Bob - odparł ten tonem szefa. - Zabiorę Crenshawa. Twój tato ma rację. Chce coś więcej wiedzieć. Ale coś więcej - ściszył głos - to nie znaczy wszystko!

Bob skinął głową.

- Spotkamy się jutro w Kwaterze Głównej. O piątej. Sprawdzę połączenia. Lotnicze, naturalnie. Czek zamienimy na karty kredytowe. Nie martw się, zajmę się wszystkim. Ty myśl.

Jupiter z trudem manewrował na zapchanym parkingu. Pete miał uszczęśliwioną minę.

- Widziałeś Vanessę? Ale była wściekła!

- W szkole też miała nam za złe, jeśli dostaliśmy lepsze oceny. Już taka jest. Pete... czy wiesz, co należy ze sobą zabrać? Myślę o podróży.

Crenshaw wzruszył ramionami.

- Trzeba sprawdzić, jaki tam jest klimat. W tej... Polsce. A swoją drogą, dlaczego Bob wybrał Warszawę?

Jupiter wyprzedził półciężarówkę. Wlokła się środkowym pasem niczym żółw.

- Patrycja Mc Grove daje tam ostatni koncert. Później jej ekipa odlatuje do domu. Do Kalifornii.

- Więc dlaczego nie zaczekamy na nią w Los Angeles?

- Bo - Jupiter przyspieszył - ona nie wraca. Dostała zaproszenie od greckiego milionera. Spędzi z nim wakacje na prywatnej wyspie. Rozumiesz? Parę miesięcy.

- Jasne. Prywatna wyspa otoczona przez ochroniarzy od strony morza i lądu? Beznadziejne!

- Właśnie. - Dojeżdżali do Rocky Beach. - Ostatnią szansę sprawdzenia naszyjnika mamy właśnie w Warszawie. I tam polecimy.

Stali przed furtką prowadzącą do ogródka Crenshawów. W głębi widać było mamę, jak z pełnym poświęceniem przesadza rośliny doniczkowe.

- Życzę powodzenia - Jupiter uśmiechnął się krzywo. - Wiedział, że państwo Crenshaw nigdy nie polubią Agencji Detektywistycznej. I roli, jaką syn w niej odgrywa.

- Przekonaj mamę.

Pete wydał wargi.

- Zrobi się. Na pewno oglądała telewizję. Jest dumna ze sławnego syna!

- Tato - przekonywał Bob, ściskając w spoconych dłoniach aktówkę. - Mamy jedną szansę na milion.

- Zgoda - pan Andrews od lat przygotowywał syna do samodzielności. - Tylko że wy nie znacie tego kraju. Nic o Polsce nie wiecie.

- To prawda, ale wszystko można przeczytać. Polska to nie jakaś tam bezлюдna wyspa, tylko duży kawałek Europy. Co z tego, że wschodniej? Tym ciekawiej. Wszędzie jacyś ludzie znają angielski. A my nie damy się nikomu zjeść w kaszy.

- To dobrze. Ufam ci, synu.

- Dzięki, tato.

Ciotka Matylda aż przysiadła na kuchennym stołku.

- Polska? Toż to na końcu świata!

- W sercu Europy, ciociu. Jasne oczy ciotki zabłyśły.

- Jupiterze, nie jestem głupią babą! W Warszawie mieszka moja daleka krewna. Nazywa się... czekaj, gdzieś tu mam od niej kartkę. Pisujemy rzadko. Czasami z okazji Świąt...

Jupiter o mało nie zakrztusił się tuńczykiem. Zjadał sałatkę, aż mu się uszy trzęsły.

- Co? Masz krewną w Polsce? Nigdy nie wspominałaś...

Ciotka Matylda grzebała w szufladzie starej, stylowej komody, która miała pięknie wygięte nóżki i należała kiedyś do bogatych ludzi. Dopóki spadkobiercy nie wystawili jej na licytację.

- Jest. Kartka z Warszawy. Zobacz. To Pałac Kultury i Nauki.

Jupiter obracał kartonik w palcach. Tekstu nie zrozumiał. Był w obcym, nieznanym języku.

- Po polsku. Jak przeczytałaś?

- Och, nie mieszkamy w dżungli, mój chłopcze. Jest tu kilkoro Polaków. Imigrantów. Zawsze chętnie przetłumaczą. Moja krewna nazywa się Kozak. Urszula Kozak. Ma córkę w twoim wieku. Monikę.

Jupe wyglądał na ogłuszonego.

- Nigdy mi o nich nie mówiłaś.

Ciotka wygarniała z szufladki całą furę widokówek.

- Po co? Nie sądziłam, że cię to zainteresuje. Pradziadkowie przyłączyli tu z Europy. Byli nafcjarzami. Znaleźli pracę. Przecież wiesz, że niedaleko stąd są pola naftowe w Ellwood?

- Naturalnie, ciciu. Mogę wziąć te kartki? Chcę, żeby je obejrżeli Pete i Bob. W końcu polecimy razem.

Ciotka Matylda otarła ukradkiem łzę.

- Mam nadzieję, że sobie poradzicie, co, Jupe?

Oczywiście. Nie jesteśmy już dziećmi. Dawno wyrosliśmy z krótkich majtek.

- Pamiętam, kiedy byłeś takim kochanym małym tłuscioszkiem...

Jupiter Jones zgrzytnął zębami. Nie, tego tematu nie pozwoli rozwijać. Co jak co, ale "Mały Tłuscioszek" musi zniknąć na zawsze.

- Ta wyprawa pomoże nam ugruntować pozycję Trzech Detektywów - powiedział ugodowo. Nie chciał martwić ciotki. W końcu to ona go wychowała, gdy rodzice zginęli w wypadku.

- Mam nadzieję. Aha, moja krewna też ma skład złomu. A może tylko w nim pracuje? Tam, w Warszawie. Wyślę telegram, że przyjeżdżacie. Ucieszy się.

- Ciekawe miasto - kręcił głową Pete, grzebiąc wśród stosu pocztówek. - Wszędzie są pomniki. Pomyśl, co za przypadek, że kuzynka ciotki Matyldy właśnie tam mieszka. Założymy bazę, jak za dawnych lat, w jej składnicy złomu! Mamy wprawę.

Bob coś czytał w milczeniu. W końcu się odezwał.

- Zapomnieliście, że jest grudzień. W tej części Europy temperatura spada czasami do minus dziesięciu stopni.

- Fahrenheita?

- Nie. Celsjusza. Inna skala, Pete. Tam jest zima. Śnieg pada. Trzeba wziąć mnóstwo ciepłych rzeczy.

Jupiter Jones spojrział na kwitnący krzew manzanity za oknem.

- No tak. O tym nie pomyślałem. Musimy zdążyć do domu na Boże Narodzenie. Jeśli rozszyfrujemy znaki na naszymylniku, poznamy miejsce zakopania reszty skarbu. Możemy się domagać znaleźnego.

Pete popukał się palcem w czoło.

- Akurat! Kto ci da znaleźne? Rząd Stanów Zjednoczonych, Japonii czy Filipin? Lepiej mi powiedz, co to jest? Tu, na tej kartce.

- Tramwaj. Stary model. Takie jeżdżą po Europie.

- Nie mają metra?

Jupiter zebrał porzucane pocztówki.

- Bob wszystkiego się dowie. W sam raz zadanie dla niego. Kiedy Patrycja przylatuje na warszawski koncert?

- Siedemnastego grudnia. Mamy czas.

Jupiter wstał. Chodził tam i z powrotem od kanapy do okna, i od drzwi do biurka.

- Najlepiej polecieć jedenastego. Z przesiadką w Nowym Jorku.

- Dobrze - uśmiechnął się Pete. - Ważne, że rodzice w końcu się ugięli.

- Najlepsza wiadomość dzisiejszego ranka!

## ROZDZIAŁ 7

### GDZIE LEŻY WARSZAWA?

Przygotowania do podróży zajęły im prawie osiem dni. Nie tak łatwo przenieść się o kilka tysięcy mil do Nowego Jorku, a potem drugie tyle do Warszawy. Szmat drogi, choć ogromny Boeing 767 pokonuje Atlantyk niczym potężne ptaszysko. Pakowali plecaki, próbując upchać o wiele więcej, niż to wynikało z ich pojemności. Grube kurtki i swetry, buty nieprzemakalne, flanelowe koszule i po pary dżinsów. Ciotka Matylda ukradkiem wsunęła Jupiterowi trzy tabliczki czekolady i miętusy. Nie da się ukryć, że wciąż traktowała detektywów jak małe dzieci.

Telegram od Urszuli Kozak zastał ich w kuchni nad sufletem z sera i duszonych porów.

- Co pisze?

Ciotka Matylda włożyła okulary. Wyglądała w nich jak okrągła, mądra sowa.

- Nic z tego. Nie rozumiem ani słowa. Nie martwcie się! Wuj Tytus pójdzie do knajpki Billa i wszystko wyjaśni.

Jupiter odłożył widelec.

- Bill mówi po polsku?

- Bill nie, ale pracuje tam kelnerka. Jest Polką. Jedzcie, chłopcy! Kto wie, co was czeka!

Pete szeroko otworzył oczy.

- To tylko Europa, proszę pani. Tam się nie umiera z głodu. Naprawdę.

Bob zaśmiał się głośno.

- Znam nazwy wszystkich najlepszych restauracji i hoteli w Warszawie. Kupiłem przewodnik i mapę. Nie zginiemy!

Ciotka Matylda wciąż była pełna obaw.

- Będziecie telefonować. Codziennie.

Jupiter Jones skrzywił usta.

- Za drogo, ciociu. Szkoda naszych pieniędzy. Ale dobrze, już dobrze. Ze dwa razy zatelefonujemy.

Wrócił wuj Tytus. Miał rozradowaną minę.

- Ona pisze, ta Urszula, że was oczekują. Jeśli dacie znać, Monika wyjedzie po was na lotnisko. Mieszkają na Pradze...



Bob nerwowo odsunął krzesło.

- Gdzie? Przecież Praga jest stolicą Czech!

Wuj Tytus postukał palcem w kartkę papieru.

- Pragę nazwano część Warszawy. Leży na prawym brzegu Wisły. To dzielnica starych domów. Niektóre kamienice pamiętają pierwszą wojnę światową... bazar...

Pete miał strach w oczach.

- Bazar? Jak w Dzielnicy Chińskiej?

Bob popukał się palcem w czoło.

- Nie panikuj, Pete. Dowiem się wszystkiego o tej części miasta. W Bibliotece w Santa Barbara mają ogromny dział dotyczący Polski. I Warszawy. Będziemy lepiej obkuci od tubylców!

- Wyślij telegram - ciotka Matylda przytrzymała Jupitera za kark. - I zjedz do końca obiad.

Wreszcie nastąpił historyczny dzień. Trzej Detektywi zajechali taksówką na Los Angeles International Airport w pobliżu Inglewood. Tuż przed wejściem do Gate 85 czekał na nich przedstawiciel linii lotniczych.

- Życzymy szczęśliwego lądowania - powiedział uprzejmie. - A oto dodatkowa nagroda: pismo do Polskich Linii Lotniczych LOT - naszego partnera w Warszawie. Gdyby zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności...

Jupiter skinął głową.

- Dziękujemy. Może się okazać potrzebne. W pracy detektywa nigdy niczego nie da się przewidzieć do końca.

- I pudełko czekoladek. - Niski mężczyzna z wąsikami rozplątywał się w ukłonach. Widać hasło wymyślone przez Jupitera już przyniosło liniom niebagatelne korzyści. - Zgłóście się na lotnisku Kennedy'ego do informacji. Maksymalnie ułatwią wam dalsze kroki.

Głośnik melodyjnie wyjęczał, że samolot do Nowego Jorku kończy odprawę pasażerów. Chłopcy chwycili torby i na łeb na szyję pognali rękawem do maszyny. Stewardessa pomogła ulokować bagaż w skrytkach. Zagrały potężne silniki.

- Jakże mamy szansę? - wymruczał Pete.

- Jak drużyna bobsleya z Jamajki! - odwarknął Jupe. W tej chwili nie wierzył w nic. Nawet w to, że ciężki kadłub oderwie się od ziemi. A jednak zrobił to.

- Port lotniczy Okęcie - przeczytał Jupe, wolno składając zgłoski. - No, to jesteśmy!

W hali przylotów zgiełk i ruch niczym na nowojorskim lotnisku. Tylko przestrzeń dużo mniejsza. Wszędzie ludzie biegali tam i z powrotem, taszcząc na wózkach walizy i kufry. "Karuzela" numer 3 wypłukała ich plecaki z wielkimi nalepkami American Airlines. Byli maskotkami firmy. Dziećmi mającymi przynieść krociowe zyski. Tylko że o tym nie mieli najmniejszego pojęcia. W ciepłych kurtkach i wełnianych czapkach z pomponami wcale nie wyglądali na sławnych detektywów.

- A jak jej nie będzie? - zmartwił się Pete. Był niewyspany. Nocny lot dłużył się niczym włoski makaron.

- Kogo?

- Moniki.

Jupe rozejrzał się. Przelot nad Atlantykiem nie przytępił jego szarych komórek. W samolocie spał jak suseł.

- Tam. Widzicie? Dziewczyna w futerku trzyma nad głową patyk. A na patyku kartka z napisem...

- "Trzej Detektywi"! - ucieszył się Bob. - Gazu, panowie! Dama nie może czekać. Nie w Europie!

- Mówisz po angielsku? - Jupiter postrząsał urękawiczoną dłonią siedemnastolatki. - Jestem Jupiter Jones. A to pozostali detektywi: Pete Crenshaw i Bob Andrews.

- Monika. Mówię, ale często robię błędy.

- Nie szkodzi.

Dziewczyna ruszyła przed siebie. Kiedy opuścili halę dworca, mroźne powietrze uderzyło ich w twarze.

- Super! - ucieszył się Pete. - Tak powinno być w Święta! Śnieg i... w ogóle...  
Idziemy do metra?

Monika odwróciła zaróżowioną twarz. Miała słowiańskie, szerokie kości policzkowe, mały, lekko zadarty nos i dwa dołeczki w policzkach.

- Z metrem jest bieda - uśmiechnęła się - dopiero ciągniemy pierwszą linię. Ale nie martwcie się. Mam garbusa.

- Co? - Pete wytrzeszczył oczy.

- Samochodzik. Volkswagen. Stary, ale jeszcze jakoś się rusza.

- Żebyś zobaczyła forda Jupitera! - roześmiał się Bob.

Załadowali się z trudem. Wielkie plecaki przesłaniały widoczność.

- Może nas policja nie złapie - zasepiła się dziewczyna ruszając.

- Policja? - warknął siedzący na przedzie Jupiter. - Jak mi wpadnie w łapy, zrobię z niej odpady nuklearne!

Monika roześmiała się głośno.

- Nie bądź taki pewny siebie! To, że jesteście Amerykanami, dla drogówki nie ma większego znaczenia. Mandaty sypią po równo: rodakom i cudzoziemcom! Ale zanim dojedziemy na miejsce, opowiedzcie, w skrócie, o co chodzi. Moja mama niewiele zrozumiała z listu Matyldy.

Jupiter wziął głęboki oddech.

- O.K. W skrócie: Podczas drugiej wojny światowej Japończycy ukryli na Filipinach wielkie skarby. Złoto, biżuterię...

- Dużo?

- Oblicza się, że wiele ton. Część złota znaleziono. Reszta, zakopana głęboko, jest trudna do odszukania. Niemniej istnieją pewne wskazówki. Jeden ze znalców został zamordowany. Utopiony. Wszyscy zainteresowani skarbem wiedzą jedno: główną wskazówką jest naszyjnik z białych i czarnych pereł. Dawne właścicielki o niczym nie mają pojęcia lub tak udają. Naszyjnik kilka razy zmieniał... jakby tu rzec... szyję. Teraz wisi na Patrycji Mc Grove!

Monika wjechała na most prowadzący na praski brzeg Wisły. Szare fale tu i ówdzie obmywały zlodowaciały piasek. Było zimno, ciemno i wilgotno.

- Już rozumiem! Sławna piosenkarka rockowa. Daje jeden gigantyczny koncert w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki.

- To ten, co sterczy za naszymi plecami? - zainteresował się Bob wykręcając szyję.

- Jak chcecie się do niej dostać? Do Patrycji? Sala Kongresowa będzie obstawiona policją i ochroniarzami. A biletów nie ma już od miesiąca. I... skąd wiecie, że wystąpi w naszyjniku?

Bob wychylił głowę spoza plecaka trzymanego na kolanach.

- Jedną z jej piosenek napisał Affley Buck. Jej były mąż. Nosi tytuł: "Mam obrozę z pereł czystych niby lzy". Zawsze ją śpiewa na koncercie. I wtedy wiesz ten milionowy majątek na swojej czekoladowej szyi. Za kulisami stoi prywatny detektyw z rozpylaczem. Już w Paryżu, kiedyś, próbowano ją ograbić. Mówi się, że Patrycja uwielbia prowokować świat.

Jupiter Jones cierpiał katusze. Zazdrościł Bobowi jego wspaniałej dokumentacji. Teraz, kiedy Monika prowadziła samochód przez zamgloną Warszawę, jego zazdrość rosła niczym ciasto na drożdżach.

Dziewczyna wjechała w szeroką aleję.

- To naprawdę niezwykła historia. Będę waszą tłumaczką i kierowcą. Zgoda?

- Jasne! - wrzasnęli z entuzjazmem.

- Ale... dziwnie - powiedział Pete wysiadając. Jego wielki palec wskazywał otoczenie.

- Tutaj? - Monika wyjęła kluczyki. Stała obserwując zmagania chłopaków z bagażem.

- Te domy, no... całe otoczenie. Taka jest Warszawa?

- Jest brzydko, ale charakterystycznie! - roześmiała się, ukazując dołki w policzkach. - O tej dzielnicy mówią, że jest najmniej stołeczna, ale za to najbardziej warszawska ze wszystkich części miasta.

- Lokalna patriotka? - szczerknął zębami Jupiter naciągając głębiej czapkę. Zima w Polsce nieco go jednak zaskoczyła.

- Tak. - Monika zamknęła samochód. Stał na podwórku otoczonym z trzech stron ścianami starej kamienicy pamiętającej dziewiętnaste stulecie. - Praga już w siedemnastym wieku była dużym ośrodkiem handlu i rzemiosła.

- Siedemnastym? - Jupiter podniósł oczy do nieba. - Trzysta lat temu? W Ameryce wtedy Anglicy wypierali Francuzów!

- Błagam, chodźmy! - zajęczał Pete. - Jest za zimno, żeby roztrząsać historię Europy! Jesteśmy w podróży od dwóch dni!

Weszli na ciemną, ale ciepłą klatkę schodową upstrzoną kolorowym graffiti. To zdecydowanie rozbawiło Boba.

- Kiedyś tak wyglądało nowojorskie metro. U nas, w Kalifornii...

Monika zatrzymała się na podeście pierwszego piętra. Jej oczy błyszczały.

- Zapomnijcie chwilowo o Kalifornii, dobrze? Mamy tu po uszy amerykańskich filmów, coca-coli i Mc Donaldów. Nie próbujcie pouczać Polaków, jak mają żyć, O.K? Bo tego bardzo nie lubią!

Pete uśmiechnął się szeroko.

-Wszystko jasne. Ale nie sądź, że przylecieliśmy tu, by działać na terytorium wroga!

- Będziemy szczęśliwi, jeśli nam pokażesz miasto - Jupiter marzył o ciepłym łóżku.

Dziewczyna skinęła głową.

- A zatem jest układ: wy się niczemu nie dziwicie, ja wam pomagam w tym... szemranym interesie!

- Zgoda! - wystękali zrzucając plecaki.

W zagraconym, obszernym korytarzu wyciągała pulchne ramiona ciotka Urszula. Zanim wycalowała chłopców jak z dubeltówki, zawołała w głąb mieszkania:

- Są! Karolu, zgaś płomień pod rosołem!

Trzej Detektywi z radością powitali ciepłą atmosferę. W zamieszaniu, jakie zaistniało, próbowali nie stracić głowy.

- Jak mamy się zwracać do twojej mamy? - Jupiter wykazał maksimum przytomności umysłu. Tym bardziej że do końca nie rozumiał skomplikowanych powiązań rodzinnych między ciotkami.

- Ciociu Urszulo.

- Ci... ci... - Bob zawiązał sobie język na supełek.

Monika spojrzała na matkę z ukosa.

- Mamo - powiedziała lekko speszona - oni nie potrafią wymówić słowa: ciociu.

Pani Kozak zerknęła na męża, który wychynął z kuchni, a potem na trzech przybyszów. Roześmiała się głośno, wskazując palcem na siebie.

- Urszula. A to Karol.

- Hey, Karol - Pete najszybciej ruszył z wyciągniętą dłonią.

Za nim poszła reszta. Pierwsze lody zostały przełamane.

Godzinę później chłopcy rozpakowywali się w pokoju, gdzie z niemałym trudem wepchnięto, obok zielonej wersalki, dwa polowe łóżka.

- I co? - Pete stał przy oknie, patrząc na lekko ośnieżone dachy wiekowych kamienic.

- W porządku - Jupiter walczył z drzwiami szafy, które za nic w świecie nie chciały się zamknąć. - Oni są w porządku. A ciotka Urszula bardzo mi przypomina Matyldę.

Bob ziewnął szeroko.

- Detektywi, idziemy spać! Musimy nadrobić różnicę czasu. Inaczej żaden z nas

nie będzie mógł jutro rozsądnie myśleć.

Skinęli głowami zakopując się w ciepłe kołdry. Trzy minuty później w pokoju słychać było leciutkie poświstywanie przez nos.

Monika uchyliła drzwi.

- Śpią, mamó. Jak susły.

Następnego dnia Trzej Detektywi od rana gotowi byli do zajęć., Jupiter wyrysował bardzo porządny grafik.

- Każdy z nas ma swoje zadania.

- Ale Monika się nie roztroi!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Bob odłożył studiowany właśnie plan miasta.

- Że nie może tłumaczyć każdemu z nas osobno.

- Wiem o tym. Zresztą chodzi jeszcze do szkoły. Ale będzie miała świąteczną przerwę. - Pete pakował torbę. - Nie jesteśmy niemowami. Ktoś tu przecież zna angielski. Choćby w hotelu Marriott, gdzie się mieszczą polskie linie lotnicze, do których mamy list polecający. Musimy być samodzielni.

Jupiter dopijał kawę.

- Z mlekiem. Taką samą robi ciotka Matylda. Nawet kubek podobny.

Bob z szelestem złożył papier.

- Jupe ułożył plan, którego trzeba się trzymać. To, co wiem: bilety na tramwaj lub autobus kupuje się w kiosku z gazetami, pieniądze wymienimy w banku obok hotelu, kartami kredytowymi można tu płacić wszędzie, gdzie jest logo.

- Dużo już wiesz! - Pete wciągał dodatkowy sweter,

- Dokumentacja to moja działka. I zabrałem ze sobą bardzo porządny przewodnik. Chcecie wiedzieć, kto nadał akt praw miejskich warszawskiej Pradze? Król Władysław Czwarty.

Jupiter zapiął wewnętrzną kieszeń kurtki.

- Sorry, Bob. Ale w tej chwili ważniejsza jest wiadomość, jak się nie dać okraść.

Rada wuja Karola: nigdy nie nos portfela w tylnej kieszeni spodni!

Bob poklepał się po brzuchu.

- Mam swoje stare sposoby, Jupe. W Los Angeles też nikt nie nosi portfela na widoku. Pod tym względem nie jesteśmy gorsi od Europejczyków!

Bez trudu znaleźli właściwy tramwaj, a nawet zrozumieli, co należy zrobić z biletem. Bardzo uważnie obserwowali współpasażerów. Przejechawszy na drugi brzeg

Wisły, skierowali się ku Pałacowi Kultury i Nauki. Wyrastał w samym centrum Warszawy jak najlepszy drogowskaz. Drugim stałym punktem okazał się szklany wieżowiec hotelu Marriott.

- Dobrze, że nie mają jeszcze tyłu drapaczy chmur co Nowy Jork!

Do hotelu weszli przez biura LOT-u.

- Rozejrzyj się, Pete - powiedział Jupiter Jones wyjmując z kieszeni list od dyrekcji American Airlines. - Widzisz kogoś sensownego?

Pete spokojnie żuł gumę. Jego wzrok ślizgał się po twarzach urzędników pracujących w kilkunastu okienkach. Dostrzegł wąską buzię o małym nosku, na którym tkwiła para ogromnych szkieł w złożonych oprawkach. Spodobał mu się uśmiech dziewczyny. Miała niewiele ponad dwudziestkę. I nudziła się za szybą, jak mops.

- Poczekajcie - powiedział Pete zdejmując czapkę. Jego czupryna zawsze robiła wrażenie na rówieśnicach. Z wyjątkiem Vanessy, naturalnie. Ale Vanessa miała podły charakter. - To chwilę potrwa. Daj mi nasz bilet wizytowy, Jupe. I list.

Jupiter skrzywił się, ale nie powiedział. On sam nie miał powodzenia u płci przeciwnej. Wysoki, smukły i wysportowany Crenshaw nie wymyśliłby prochu, ale zawsze umiał oczarować, kogo trzeba. Nawet okularnicę za szybą.

- Bob - poskarżył się - dlaczego wszystkie blondynki tak łatwo dają się omamić temu... przystojniakowi?

Andrews spojrział z ukosa.

- Sam sobie odpowiedziałeś. Jest przystojny. I tyle. Spójrz, jak z nią gada! Sam lukier na bożonarodzeniowym cieście!

Czekali dobre dziesięć minut. A może i dłużej. W okienku, za plecami dziewczyny, pojawiali się coraz ważniejsi panowie w garniturach.

- Idziemy! - warknął Jupiter. - Trzeba go wesprzeć. W końcu to ja wymyśliłem hasło!

Bob wyjął z ust gumę.

- Dobrze, Jupe. Choć sądzę, że sam dałby sobie radę.

- Może na siłowni. Ale nie w miejscu, gdzie trzeba ruszyć głową!

Wysoki, elegancki mężczyzna w szarym, nieskazitelnie skrojonym garniturze uśmiechał się nieco sztucznie, gdy zagadnął bezbłędną angielszczyzną:

- Więc to wy jesteście autorami najlepszego hasła reklamowego, o jakim słyszałem?

Jupiter wyduł wargi.

- Tak. Ja je wymyśliłem. Poza tym jesteśmy detektywami. Mamy tu pewną... sprawę do załatwienia.

Mężczyzna skinął głową.

- Wobec tego zapraszam do gabinetu. Moi partnerzy z American Airlines proszą, bym wam udzielił pomocy we wszystkim.

Pete mrugnął do okularnicy. Zaczerwieniła się po uszy.

- Jak masz na imię?

- Agata.

- Wrócimy tu jeszcze, Agato.

Pobyty w gabinecie o wymiarach pola golfowego nie przyniósł spodziewanych efektów. Jupitera to nawet niespecjalnie zdziwiło.

- LOT tylko wynajmuje pomieszczenia w hotelu - tłumaczył szary garnitur paląc cienką, brązową cygaretkę. - Nie mamy wpływu na dyrekcję i personel Marriotta. A wam zależy, by się spotkać z Patrycją Mc Grove, gdy tu zamieszka, czy tak?

- Tak - Bob szperał w aktówce. - Jutro przyjeżdża. Z całą ekipą techniczną.

Jupiter Jones skubał dolną wargę.

- Musimy być w pobliżu. To szalenie ważne. Czy nie mógłby pan... załatwić nam, no, powiedzmy, wejściówek na występ gwiazdy? Bilety są od dawna wyprzedane.

Szary garnitur wypuścił kłęb błękitnego dymu, który rozchodził się w klimatyzowanym powietrzu znikając pod sufitem.

- Tak. Sądzę, że to da się zrobić. Mamy pewne... koneksje z agencją, która sprowadziła do Polski Patrycję. Dajemy czasem zniżki na przelot naszymi liniami lotniczymi. Tak, to nie powinno być trudne. Zostawcie swoje nazwiska.

Pete położył na szklanym blacie wizytówkę.

- Oto one. Nieco sfatygowana, ale...

Szary garnitur roześmiał się.

- O.K., chłopcy. Zgłóście się jutro do okienka Agaty. Zdaje się, że się już z nią zaprzyjaźniliście. A tak między nami... Agata jest moją siostrzenicą.

Trzej Detektywi odwzajemnili uśmiech.

- Tym lepiej - odezwał się Pete - wszystko zostanie w rodzinie.

Szary garnitur wstał. Żegnając się, przytrzymał nieco dłoń Jupitera.

- Może wymyślisz i dla nas jakieś równie dobre hasło reklamowe?



Jupiter Jones napuszył się niczym indor.

- To możliwe. Pomyślę. Ale wpierw załatwimy sprawę z Patrycją.

Wyszli zadowoleni. Coś jednak posunęło się o parę kroków do przodu. Wejściówki do Sali Kongresowej mogą okazać się jedyną szansą.

Pete poszedł pożegnać się z Agatą. Chwilę o czymś gadali.

- Wiecie co - oświadczył, kiedy stanęli na chodniku przed gwiazdkowo ozdobionym hotelem - ona mi powiedziała, że może nas poznać ze swoim chłopakiem...

- Wielkie mi rzeczy! - Jupiter naciągnął czapkę na uszy. Wiatr wiał ze wschodu, chłodząc nieprzyjemnie policzki i wciskając się w szczeliny niedokładnie zapiętych kurtek.

Pete strzelił palcami. Miał uśmiech Mickey Mouse z Disneylandu.

- Ale ten chłopak jest kimś w rodzaju hotelowego portiera.

Bob chuchnął w dłonie.

- Co to znaczy: kimś w rodzaju?

- Agata dała do zrozumienia, że jego hotelowy uniform jest... no, jak to najlepiej ująć...

Jupiter ruszył kłusem.

- Chcesz powiedzieć, że jest ukrytym hotelowym detektywem?

Bob i Pete zrównali się.

- Właśnie. Obserwuje gości. Czasem trafi się przecież jakiś... szemrany z dużą forszą. Dla bezpieczeństwa hotelu. Tak jest wszędzie. W Paryżu, w Londynie. W Los Angeles i w Santa Barbara także.

- Zgoda. Co robimy teraz?

- Zejdziemy podziemnym przejściem. Z tego, co wiem, to jest Dworzec Centralny. Kolejowy.

- Po co ci dworzec? Nigdzie nie jedziemy.

Bob skulił się. Warszawskie zimno dawało mu się we znaki.

- Żeby znaleźć się pod Pałacem Kultury i Nauki. Trzeba się przyjrzeć Sali Kongresowej. No... rozejrzeć się. A potem coś zjeść. Widziałem po drodze Mc Donalda. Mam ochotę na hamburgera z frytkami.

## ROZDZIAŁ 8

### TAJEMNICA SALI KONGRESOWEJ

Godzinę później pałaszowali big burgery, popijając coca-cole.

- Szkoda, że obsługa nie chciała nas wpuścić do Sali Kongresowej - Jupe nabrał na widelec sałatkę z kapusty. Przyglądał jej się z lekkim niedowierzaniem.

- Sprawdziłem plan sali koncertowej - Bob miał czerwone uszy. Pewnie z zimna.

- Wisiał w holu. Jeśli dostaniemy wejściówki, jeśli ubraniem niezbyt będziemy się różnić od członków zespołu i jeśli cały czas będziemy głośno gadać po angielsku, to...

Jupiter przestał męczyć kapustę. Nie smakowała mu.

- To ochrona pomyśli, że jesteśmy częścią zespołu, tak?

- Właśnie.

Wrócili na Pragę w nieco lepszych nastrojach. Trochę się jednak pogubili wśród podwórek. Zaniedbane kamienice na Białostockiej wyraźnie kontrastowały z odnowionymi domami obok i blokami z wielkiej płyty naprzeciwko. Ale w końcu trafili. Ciotka Urszula, zaniepokojona, krążyła od okna do okna.

- Dobrze, że jesteście zdrowi i cali!

Monika wycierała mokre ręce, stojąc w drzwiach kuchni.

- Ależ, mam! Nic im nie grozi. W biały dzień?

Chłopcy zostali zapędzeni do nakrytego stołu. Pomimo zjedzonych hamburgerów wciąż mieli wilczy apetyt.

- Jak było? - Monika nakładała pieczone kartofle.

Jupiter wciągnął nosem zapach duszonej wołowiny.

- Całkiem dobrze. Załatwiliśmy prawie wszystko z waszym LOT-em. Wymieniliśmy pieniądze i kupiliśmy ciepłą czapkę dla Boba. Marznie biedaczek. A Crenshaw poznał Agatę.

Monika lekko uniosła brwi.

- Kto to?

Pete posłał jej rozbijający uśmiech.

- Okularnica z LOT-u. Ma chłopaka pracującego w hotelu. Znajomość pierwsza klasa.

Monika uśmiechnęła się. Miała drobne, białe zęby, jak u myszki.

- Jutro już nie idę do szkoły - powiedziała. - Wakacje aż do Świąt Bożego Narodzenia. Zostaniecie na Święta? Będzie choinka, prezenty. Tato obiecał, że was zabierze na prawdziwy kulig, jeśli tylko dopisze śnieg.

- Co to: kulig? - zainteresował się Pete.

- Noc, śnieg, sanie zaprzęzone w konie i sztuczne ognie!

Bob potrząsnął głową. Sama myśl o wywrotce w głęboki zimny śnieg wcale mu się nie uśmiechała.

- Obiecaliśmy rodzicom, że wrócimy do Rocky Beach. Do domu. My też mamy choinkę, prezenty, ciepłe morze i drzewka cytrynowe. Jest inaczej...

Monika spuściła głowę.

Wieczorem zebrali się na radę. Mały pokój pokryły papiery, plany miasta i przeróżne grafiki. Monika przyniosła ciasto i filiżanki z herbatą malinową.

- Podsumujmy całość - zaproponował Jupiter.

Pete wyciągnął się na wersalce. Jego długie nogi w grubych skarpetach wystawały na zewnątrz.

- Dobrze. Patrycja zjeżdża jutro z ekipą i biżuterią w przenośnym sejfie.

Bob lubił konkrety.

- Skąd wiesz, że wozi sejf? Raczej wynajmie go w hotelu.

Jupiter niecierpliwie zamachał dłońmi.

- To nie są, chwilowo, ważne szczegóły. Chodzi o to, jak przyjrzeć się naszymu naszyjnikowi z bliska!

- W tym może nam pomóc wmieszanie się w ekipę techniczną albo hotelowy detektyw, czyli chłopak Agaty.

- I co to da? - zdziwiła się Monika. - Żaden z was nie ma najmniejszej szansy, by wziąć naszyjnik do ręki. Jak więc sprawdzicie znaki wyryte na zameczku?

Jupiter zamyślił się skubiąc wargę.

- Pierwsze prawo detektywa brzmi: niczego nie można z góry przewidzieć. Jeśli dostaniemy się w pobliże Patrycji, wszystko jest prawdopodobne.

- Czy ona wie o skarbie? O znakach? Układzie pereł?

- Dobre pytanie! - powiedział Pete. - Tego nie wiemy. Ale sądzimy, że tak. Wskazuje na to kolekcja zdjęć poprzednich właścicielek naszyjnika i karteczka z tajemniczymi cyframi.

- Wiecie, co oznaczają?

Bob wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie. Ale się dowiemy.

- Sądzę, że mają związek z perłami - Jupiter połykał ciasto - dlatego muszę je zobaczyć na własne oczy! Policzyć czarne, policzyć białe...

Bob znów szeleścił papierami.

- Kiedy wy zmagaliście się z portierami w Sali Kongresowej, ja odpisałem z afisza skład zespołu Patrycji. Wiecie, kto jest wśród muzyków?

Jupiter zmrużył oczy.

- No, kto?

- Affley Buck.

Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

- Skąd się wziął? Pracuje przecież w Chińskim Teatrze w Los Angeles sprzedając bilety na przejazd do wytwórni filmowej Universal!

- Podejrzewam, że on też jeździ, jak my, za naszymi! - Jupe z rozpędu wziął następny kawałek ciasta. - Sytuacja zaczyna być interesująca!

Pete zajrzał przez ramię Boba. Dokładnie studiował kartkę. Po chwili jego oczy zaokrągliły się ze zdumienia,

- Jest tu coś jeszcze lepszego!

- Co? - Bob był zazdrosny o swoją dokumentację, ale widok Crenshawa podskakującego na jednej nodze, niby flaming w zoo, sprawił, iż zapomniał o urazach.

- W obsłudze jest sam Willi Crash! Wielki Willi!

Chłopcy zaczęli sobie wyrywać kartkę z rąk.

- Fakt - Bob musiał uznać wyższość Pete'a Crenshawa. - To facet, który pracuje z twoim ojcem, tak?

Monika kręciła głową niczym na meczu pingpongowym.

- Może mi wyjaśnicie, o co chodzi?

Pete ze skrzyżowanymi nogami usiadł na dywanie.

- Mój ojciec pracuje w Hollywood. W wytwórni filmowej. Jest fachowcem od efektów specjalnych.

- Takie rekiny i sztuczne godzille? - zachwyciła się Monika.

- Nie tylko. Także światła, dźwięki... no, wszystko. Willi Crash jest jego przyjacielem. Czasem, gdy mu się znudzi Hollywood, jedzie z jakąś ekipą w świat. To on ustawiał światła dla Michaela Jacksona i Tiny Turner. Teraz jest w zespole Patrycji Mc Grove! To nas ratuje, panowie!

Następnego dnia wyraźnie pocieplało. Śnieg zniknął z dachów, ulice tonęły w lepkiem błotku.

- Weźcie szaliki! - wołała pani Urszula za czwórką zbiegającą ze schodów.

- Nic im nie będzie, mamó! - odskrzyknęła Monika. - Wiozę ich przecież samochodem!

- Uważaj na jezdni! - Pan Karol Kozak pakował do torby drugie śniadanie. Dziś zaczynał pracę nieco później. - Tyle jest stłuczek...

Atmosfera zbliżających się Świąt rozweselała szare, zamglone nieco miasto. W centrum, przed domami towarowymi udekorowanymi zielonymi festonami pełnymi czerwonych i złotych ozdób, przechadzali się święci Mikołajowie pokrzykując, dzwoniąc dzwoneczkami i rozdając reklamowe ulotki.

- Jak w Kalifornii! - ucieszył się Pete. - Kupimy jakieś podarki dla rodziców? W domu już możemy nie zdążyć!

Jupiter Jones pociągnął go za ramię.

- Nie teraz! Zapomniałeś, po co przyjechaliśmy?

Wejścia do Sali Kongresowej bronił tłum ochroniarzy. Pete stanął koło wielkiej ciężarówki zaparkowanej w zatoce. Miała kolorowy napis: "Patrycja Mc Grove Show". Zagadał nawet do kierowcy, ale ten okazał się Polakiem.

- Musimy jakoś przebić się przez ten kordon - powiedział Bob manipulując przy swojej wypchanej torbie.

- Co robisz? - zdziwił się Pete, widząc, jak przyjaciel wyciąga duży, metalowy lejek zakończony częścią rozszerzającą się na kształt tuby.

Bob wiedział, co robi. Nie na darmo zwinął go z kuchni ciotki Urszuli. Podniósł do ust coś, co od biedy tylko mogło przypominać megafon, dmuchnął dwa razy i wrzasnął po angielsku, z nosowym kalifornijskim akcentem:

- Mister Willi Crash proszony jest do wyjścia! Mister Willi...

Skutek był taki, że trzech ochroniarzy kompletnie zdębiało. Cofnęli się, robiąc chłopcu przejście. Za Bobem, wrzeszcząc i pokrzykując, przepchnęli się Pete i Jupiter. Tylko Monikę zatrzymano, choć też wykrzykiwała angielskie słowa.

Chłopcy skupili się na moment w wąskim korytarzyku, by natychmiast się rozproszyć. Znow wrzeszczeli pełnym głosem:

- Mister Willi Crash! Mister Willi...

O dziwo, poskutkowało. Zza jakichś bocznych drzwi wyjrzała głowa szefa techników.

- Co jest? Dlaczego wrzeszczycie, chłopcy?

- Bo jesteśmy pomocnikami Crasha. Sam nas zaangażował. Jesteśmy Amerykanami z Hollywoodu. Tu są nasze paszporty...

Facet dostatecznie zgłupiał. A ponieważ wewnątrz i tak panował totalny bałagan, wnoszono sprzęt, kręciło się mnóstwo ludzi, wskazał ręką przejście.

- Willi jest w kulisach. Musicie iść na prawo. Scott was zaprowadzi. Scott! - wrzasnął do stojącego przy wejściu łysego mężczyzny o żółtej, niezdrowej cerze. - Zaprowadź ich do Crasha.

Chłopcy uśmiechnęli się szeroko.

- To był genialny pomysł, Bob - szepnął Jupiter w biegu. - Naprawdę genialny.

Dotarcie do Crasha nie przedstawiało już żadnych trudności. Zdenerwowany powolną pracą ludzi, brakiem tłumaczy i kompletnym chaosem powitał Pete'a Crenshawa jak rodzzonego syna.

- Z nieba mi spadliście, chłopcy! Pete, czy twój ojciec wie, gdzie jesteś?

- Jasne. Sam mnie tu wysłał!

Że też piorun nie strzela w kłamców! Ale Willi Crash miał na głowie całą skomplikowaną elektroniczną aparaturę i zbyt dużo nic nie rozumiejących po angielsku pomocników, aby przejmować się czymkolwiek.

- Do roboty, Pete! Wieczorem wszystko musi grać

- I śpiewać! - dorzucił Jupiter zadowolony. - Może nam pan załatwić jakieś wejściówki?

- Niestety. Nawet ja nie mogę.

Bob chwycił za ramię odchodzącego Willi'ego.

- Panie Crash, nie mamy identyfikatorów. Wyrzucą nas na zbity łeb.

Willi podrapał się w głowę.

- O.K. Harry wam załatwi. To ten facet z zielonymi włosami.

Istotnie. W ciągu siedmiu minut seledynowy Harry, bo tak nazywano w zespole szefa dokumentacji, zrobił, co trzeba.

Jupiter Jones osobiście przypiął dwójce detektywów identyfikatory z nazwiskami. Niestety, bez zdjęcia. Tego nie przewidzieli.

- Słuchaj, Bob. Musimy z Pete'em wyjść do LOT-u. Wziąć wejściówki od Agaty. I pogadać z tym jej chłopakiem. Także odszukać Monikę. Dziewczyna mogła

przymarznąć do chodnika! Pilnuj tu wszystkiego. I koniecznie wywąchaj, kto i kiedy przywiezie na spektakl naszujnik. Włoży go zgodnie z programem. Zaczyna, po przerwie, piosenką: “Mam obrozę z pereł czystych niby łyzy...”

- Dobrze. Tylko nie przepadnijcie. Na wszelki wypadek dam wam mój metalowy lejek. Użyjcie go zamiast megafonu.

Monika prawie przymarzła do trotuaru. W wysokich botach na futerku tupiała wzdłuż krawężnika. Zobaczywszy chłopców, przygalopowała w pośpiechu.

- I co?

Z dumą pokazali wielkie identyfikatory.

- Trzej Detektywi zawsze sobie poradzą! - uśmiechnął się Jupe. - Zostawimy samochód na parkingu. Do hotelu Marriott przejdziemy pod ziemią.

W biurach LOT-u panował ścisk. Można by pomyśleć, że cała Warszawa dokądś leci. Przed okienkiem Agaty stało kilka zdenerwowanych osób.

- Niedobrze! - mruknął Jupe. - Czas ucieka!

Pete wyjął z ust zżutą gumę i od niechcienia przyklepił ją pod barierką kasy.

- Wiara przenosi góry - oświadczył szczerząc zęby. A następnie, wystawiając pierś z identyfikatorem zespołu Patrycji, stanął tuż przed okienkiem. - Sorry - powiedział wolno i wyraźnie - proszę przejść do sąsiedniego stanowiska. Ta pani obsługuje przylot zespołu Patrycji Mc Grove.

Klienci złorzecząc przenieśli się do innych okienek. Monika i Jupe parsknęli śmiechem.

- On jest fantastyczny! - wymamrotała zachwycona.

- Ale to ja wymyśliłem hasło dla linii lotniczych! - mruknął Jupe. Bardzo nie lubił, gdy się go nie chwaliło od rana do wieczora.

Pete tymczasem odebrał od Agaty firmową kopertę zaadresowaną do Trzech Detektywów. Były w niej wejściówki na koncert, list od dyrekcji LOT-u i trzy zaproszenia na cocktail wydawany przez hotel Marriott dla sławnej gwiazdy.

- Wyprosiłam od wuja! - uśmiechnęła się ciepło okularnica.

- Będziecie honorowymi gośćmi. Nie mówiąc o ostrygach i homarach. Aha, wspomniałam o was Darkowi. To mój chłopak. Ma teraz dyżur w holu głównym. Idźcie już, bo mi wystraszyście wszystkich klientów!

Pete posłał jej całusa, aż się zaczerwieniła po czubki uszu. Monika wydeła usta.

- Ale brzydka! Ma nos, który może sobie przydepnąć, jeśli nie będzie uważała.

Jupiter sadził wielkimi krokami. Już dawno spenetrował przejście do hotelowego holu.

- Jak wygląda Darek?

- Wysoki blondyn. To ten. Ma identyfikator. Nie tak wielki jak nasz, ale za to ze zdjęciem!

- Cześć! - powiedziała Monika. - To ty jesteś chłopakiem Agaty? - dziewczyna natychmiast weszła w rolę tłumaczki. Za wszelką ceną starała się być osobą niezbędną.

- Mówisz po angielsku?

Darek przecząco pokręcił głową. Był przystojnym, wysokim i szczupłym blondynem.

- Znam francuski i włoski. O co chodzi?

Jupiter przejął sprawę.

- Słuchaj, a ty, Monika, tłumacz! Jest tak...

O godzinie dziewiętnastej trzydzieści pod Salę Kongresową w Pałacu Kultury i Nauki podjechał czarno-biały bentley z dwudziestego drugiego roku. W zabytkowej limuzynie, obstawionej szpalerem ochroniarzy i policjantów w cywilu, siedziała czekoladowa piękność w futrze z imitacji skóry lamparta. Jej setki zaplecionych warkoczyków przykrywała wielka, biała czapa.

- Jest Patrycja - wyszeptał nabożnie Bob ssąc duży palec. W obliczu królowej rocka stał się tylko małym, zagubionym fanem. W tłumie tysięcy innych.

Po obu stronach ulicy szalały wiwatujące nastolatki. W górę leciały baloniki, złoty deszcz confetti i różnokolorowe serpentyny.

- Zupełnie jak w noc sylwestrową! - uśmiechnął się Jupiter. - To spontaniczne czy zorganizowane?

Willi Crash zatarł dłonie.

- A jak myślisz? Dobra, odsuńcie się. Chcę, żeby weszło paru fotoreporterów.

Tłum fanów falował, co i rusz zderzając się z ochroniarzami. Pete Crenshaw od czasu do czasu też musiał użyć swoich bicepsów, choć wewnątrz sali nie było nikogo, kto nie dysponowałby biletami.

Nawet część techniczna zespołu nie miała prawa wejść do sali widowiskowej. Wejściówki załatwione przez dyrekcję LOT-u okazały się niezastąpione.

Sala podobała się chłopcom. Białe foteliki z malinowymi obiciami wyglądały jak kawałki tortu urodzinowego. Duża i głęboka scena mogła na dobrą sprawę pomieścić



trzy takie zespoły jak dwudziestoosobowy skład muzyczny Patrycji Mc Grove.

Gwiazda nie szła, lecz płynęła. Miało się wrażenie, że zamiast nóg ma poduszkę pneumatyczną.

- Wiesz, gdzie jest jej garderoba? - Jupe szturchnął pod żebro osłupiałego z zachwytu Boba.

- Co? Tak. Wiem - wyjął z kieszeni plan teatru. - Tutaj. Ale pilnuje jej trzech dryblasów. Każdy z nich ma wypchaną pod pachą marynarkę.

- Mają broń? W teatrze?

Bob wzruszył ramionami.

- Patrycja jest warta parę milionów dolarów. Że pomnę jej sławną biżuterię, z którą się nigdy nie rozstaje. Jest jak sroka - wszystko musi mieć w gnieździe. A gniazdem jest każda kolejna garderoba.

- Dlatego tu jesteśmy - przypomniał Jupiter, cofając się przed naporem kamer telewizyjnych.

Kiedy Patrycja w końcu zniknęła w garderobie strzeżonej nie gorzej niż słynny Fort Knox, Jupiter zwołał naradę "korytarzową".

- Szkoda, że Monika musiała zostać w domu - powiedział Pete. - Nie sposób było załatwić dla niej wejściówki.

- Zobaczysz występ w telewizji - pocieszał go Bob. - Jutro ją jakoś przemycimy na cocktail w Marriotcie. Z pomocą Agaty i Darka.

Stali we wnęce, tuż za bocznymi drzwiami prowadzącymi do sali. Kiedy usłyszeli oklaski, wysunęli się przez szparę. Kurtyna poszła w górę. Na scenie, wśród dekoracji niczym z głębin oceanu, miało się kilkunastu muzyków, mały czteroosobowy chór dziewczyn o skórze w kolorze czekolady, rozebranych tak, jak na plaży w Rocky Beach.

Kiedy weszła ona, sala zareagowała rykiem.

- Nie tylko, że nie ma pereł, ona nic na sobie nie ma! - zachwyił się Pete.

Pod koniec pierwszej części koncertu Jupiter wycofał swoją ekipę.

- Idziemy!

Garderoba miss Mc Grove znajdowała się po lewej stronie. Wśród kręcących się garderobianych nikt nie rozpoznałby niskiej, tęgawej kobiety w dużych sznurowanych butach i dżinsowych spodniach wyłazających spod brązowej sukni. Srebrnosiwe włosy kłóciły się nieco z niedokładnie umalowanymi ustami.

- Jupiter wygląda jak stara niańka! - parsknął Bob zerkając na korytarz.

Pete żuł gumę. Miał niespokojne oczy.

- Trochę się boję.

- Czego? - Bob wsunął ręce do kieszeni, jego dłonie dziwnie się pociły.

- Że się wyłoży, że go ktoś rozpozna. Albo, co gorsze, że nie rozpozna!

- Bredzisz, Pete. Dostyc się namęczyłem, żeby zdobyć to przebranie. Na razie sobie radzi.

Jupiter stał za parawanem z chińskiej laki. Garderoba gwiazdy była zapchana bukietami goździków i róż, koszami mocno pachnących orchidei i kręcącymi się ludźmi. Od razu dostrzegł dużą, srebrną szkatułkę, do której, dosłownie, był przykuły łysy osiłek o wzroście koszykarza z Chicago Bulls i barach Arni Schwarzeneggera.

Zaczęła się przerwa. Jupiter pochylił się nad stosem zużytych sukien. Pachniały mocno perfumami, choć, nie da się ukryć, miały tu i ówdzie plamy potu. Gwiazda się na scenie nie oszczędzała. Jej metaliczny głos dochodził nawet tutaj.

- Co robisz? - wrzasnęła gruba Murzynka zbierając błyszczące szmatki. - To natychmiast idzie do pralni!

Jupiter wypuścił z rąk, czarne dzety.

- Tak, tak - wymruczał. Tylko tyle nauczył się po polsku. Wiedział, że amerykańskie garderobiane znają się nawzajem. Mógł tylko, od biedy, udawać jakąś niezbyt rozgarniętą tubylkę.

Patrycja lekko wbiegła do garderoby. Usłużna masażystka rozciągnęła ją natychmiast na leżance. Mocno masowała długie, szczupłe uda i wąskie ramiona piosenkarki.

- Teraz śpiewam: "Mam obrozę...". Tom. Wyjmij perły!

Nikt nie zwracał uwagi na nikogo. Każdy z zespołu, to dotyczyło także garderobianych, wykonywał swoją pracę, wyuczoną i przeciwioną setki razy.

Jupiter poczuł, że mu się robi gorąco. Nie tylko z powodu peruki i brązowej sukni do ziemi. Zobaczył to, o czym marzył siedząc w Kwaterze Głównej, wpatrzony w zachód słońca nad zatoką. Zobaczył słynne perły. Nawet stąd, zza parawanu, widział je bardzo dokładnie. Teatralna lornetka pożyczona od szatniarki wystarczyła w zupełności. Przybliżyła dwadzieścia pięć razy.

- Uważaj, Tom. Ten zameczek jest nowy. Stary się zacinał i musiałam go wymienić.

Jupiter o mało nie zemdlał. W ostatniej chwili, siłą woli, zachował spokój.

Lornetka drżała w spoconych dłoniach. Ale i tak zobaczył wystarczająco dużo.

- Pięć białych, pięć czarnych. I tak na przemian - liczył półgłosem. - To zapewne ważna wskazówka.

- Cześć, Patty! - zabrzmiał czyjś głos. - To ja. Twój były mąż. Tim Sirogata.

Patrycja tupnęła nogą.

- Jak tu wszedłeś, Tim?

- Chciałbym porozmawiać, Patty.

- Nie mamy o czym. Tom - rzuciła w stronę osiłka - usuń tego pana z mojej garderoby!

Japończyk nie był zbyt przewidujący. Może to długotrwałe poszukiwania skarbu na Filipinach, a może dawno nie ćwiczył walk wschodu. Łysy osobnik jednym szybkim kopnięciem dowiódł, iż nie płacono mu za darmo. Głowa Japończyka długo stuknęła po poszczególnych schodkach. Dopiero na dole Tim Sirogata podniósł się i odszedł zlorzeczając.

Jupiter z trudem pozbywał się grubego odzienia.

- Wiesz, Pete, myślałem, że wezwą policję. I, przy okazji, zamkną też mnie! Skąd się tu wziął Sirogata?

- Z Filipin - burknął Bob uwalniając szefa detektywów z siwej peruki. - Rozumował dokładnie tak, jak my. Czyli prawidłowo. Czego się jeszcze dowiedziałeś?

Jupiter dokładnie opisał naszyjnik.

- Pięć. I pięć. To nie ma nic wspólnego z szyfrem znalezionym na karteczce. Ale i tak sądzę, że układ pereł ma znaczenie. Ale stało się coś o wiele gorszego...

- Co? - Pete zamarł z kanapką w dłoni. Wciąż był głodny. Tę, z jajkiem, podwędził z gabinetu Willi'ego.

- Zmieniła zameczek. Podobno stary się zepsuł.

- Klęska! - wyjęczał Bob. - W zameczku jest rozwikłanie sprawy! Ostatni znak prowadzący we właściwe miejsce na Filipinach!

Jupiter Jones ocierał spocone czoło. Teraz naprawdę czuł się jak stara garderobiana.

- Może go nie wyrzuciła? Jest złoty! Patrycja wygląda na osobę przywiązaną do wszystkich błyskotek. Jak sroka. Kątem oka widziałem, że w kasetce jest mnóstwo różnej biżuterii. Takiej za miliony dolarów i za parę centów.

Bob skinął głową.

- Całkiem możliwe. Patrycja Mc Grove pochodzi z biednej rodziny. Kocha

wszystkie świecidełka. Miała dziewięć rodzeństwa. Sprawdziłem w internecie. Jej matka do dziś mieszka w Fontanie. Na peryferiach. Ojciec pracuje tam w hucie stali.

- Ostatnia huta stali na przedmieściach Los Angeles!

Chłopcy zastanawiali się, co robić. Sprawa komplikowała się coraz bardziej.

- Nie wiem, co postanowi Sirogata - westchnął Pete. - Na jednej wizycie, w garderobie, się nie skończy. Widać też poszukuje zameczka. A raczej znaków. Żeby nas tylko nie uprzedził!

Jupiter Jones zerknął na zegarek.

- Jak późno! Łapiemy taksówkę! Ciotka Urszula pewnie umiera z niepokoju. Sądzi, że Warszawa jest niebezpiecznym miastem.

Pete roześmiał się.

- Biedaczka, nie wie, jak jest w Los Angeles!

## ROZDZIAŁ 9

### COCKTAIL W HOTELU MARRIOTT

Istotnie, w mieszkaniu przy Białostockiej panowała atmosfera niepokoju. Wszyscy oglądali występ Patrycji transmitowany przez prywatny kanał telewizyjny.

- Ten naszyjnik jest naprawdę taki kosztowny? - dziwiła się ciotka Urszula.

- Parę milionów dolarów - powiedziała Monika.

- Zdumiewające - uśmiechnął się wuj Karol. - Dlaczego nie zrobi kopii? Takiej ze szkiełek?

- Bo jak się ma perły, to trzeba je nosić. Inaczej tracą blask. Tak mi powiedział Bob. A on wie wszystko. - Monika podeszła do okna. - Przyjechali! Całe szczęście. Taksówką!

Opowiadaniom nie było końca. Trwały do późnej nocy. Wreszcie wuj Karol kazał wszystkim iść do łóżka.

- Ja pracuję - mruzczał zdesperowany - skład złomu czynny jest już od siódmej. I nie jestem jego właścicielem, tylko pracownikiem.

Następnego dnia chłopcy starali się odprasować koszule i spodnie. Czekali ich bankiet w hotelu Marriott. Monika wyglądała bombowo: w ciemnozielonej sukience mini i naszyjniku z bursztynów oprawionych w srebro.

- No, jak wyglądam? To typowo polska biżuteria - bursztyn.

- Bardzo piękny. I ciekawy. Tu jest jakiś owad?

- Tak, przed milionami lat wpadł do kropli żywicy.

- Fantastyczne! - zachwycił się Bob. - Muszę coś takiego kupić na Gwiazdkę mamie.

Za oknem prószył śnieg. Temperatura znów spadła poniżej zera.

- Jedziemy, już czas!

- Tylko uważajcie na siebie - ciotka Urszula składała dłonie. - Boję się, że może się coś złego przydarzyć. W końcu ścigacie także bandziorów.

Hotel Marriott przypominał wielką świąteczną choinkę. Na wielopiętrowej elewacji świeciły gwiazdy. Chodniki ze sztucznej, zielonej trawy i girlandy kolorowych lampek. W holu i na piętrze, gdzie mieściła się sala cocktailowa, zawieszono dekoracje

z igliwia przeplatane go kiściami jemioli. Jej białe kulki ładnie odcinały się od ciemnej zieleni.

- Co to za gałązki? - spytał Jupiter.

- Jemioła. Taka zimotrwała krzewinka. Pasożytuje na innych drzewach: topoli, brzozie, sośnie. - Monika uśmiechała się tajemniczo. - W Polsce jest pewien obyczaj z nią związany...

- Jaki?

- Pod jemiołą można pocałować każdą dziewczynę. A jej nie wolno się obrazić - dorzuciła Agata nadchodząc. Miała na sobie elegancki uniform LOT-u. Jej chłopak, Darek, też wbił się w brązowy mundur pracownika hotelu.

- Masz? - spytał Jupiter cicho.

Chłopak skinął głową.

- To nie było łatwe.

- Wiem. I dziękuję. Bob?

- Dlaczego ja? - zmartwił się spytany.

Jupiter westchnął.

- Bo ja wczoraj udawałem garderobianą, pamiętasz?

- Tak, ale... - Bob nerwowo przestępował z nogi na nogę.

- Bez dyskusji! Mundur hotelowy pasuje tylko na ciebie. Pete się w niego nie zmieści. Sam widzisz...

Agata i Monika uśmiechały się.

- No, Bob. To nie takie straszne. Przez godzinę będziesz hotelowym boyem. Takim, który może wszędzie wejść. I wszystko zobaczyć. Jeśli będziesz musiał, przez przypadek, zanieść komuś walizkę, to proszę cię, nie zapomnij wziąć napiwku!

Pete wskazał palcem drzwi.

- Tu jest męska toaleta. Idź się przebierz. Darek schowa twoje ciuchy.

Bob nie miał innego wyjścia, jak posłuchać. Obaj z Darkiem zniknęli w korytarzu.

O wpół do dwunastej otwarto salę bankietową. Stoły ustawione w podkowie powinny oszołomić jakością jadła i napitków. Tylko że tłum, który się zwałił, mógłby zjeść dwa razy tyle. Chyba cała Warszawa stawiała się w komplecie.

- Straszny tłok - martwił się Jupiter. - Trudno będzie podejść do Patrycji.

Ogromne żyrandole, jarzące się szklanymi wisiorami, dawały maksimum światła. Za oknami stał szary, zimowy dzień. W sali było przytulnie, pachniały kwiaty i

perfumy, rozlegał się gwar setek osób.

Punktualnie o dwunastej wkroczyła Patrycja Mc Grove. Zjechała windą z dwudziestego piętra, gdzie wynajmowała apartamenty. Szmer powitania, po którym rozmowy ucichły, jakby nożem uciął. Gwiazda płynęła na długich nogach obutych w pantofle o dziesięciocentymetrowych obcasach. Jej głowa z zaplecionymi warkoczykami chwiała się na łabędziej szyi. Czerwona, kusa sukienka dopełniała całości.

- Włożyła naszyjnik z pereł! - jęknął Pete. - Widzisz to, Jupe?

- Widzę. Miałem nadzieję, że to zrobi.

Tuż za gwiazdą, w odległości kilkunastu centymetrów, kroczyło czterech młodych, silnych chłopaków z prywatnym ochroniarzem Tomem na czele. W czarnych garniturach, ze słuchawkami na uszach wyglądali jak z włoskiego filmu o gangsterach.

Jupiter starał się podejść jak najbliżej.

- Pete, ubezpieczaj mnie. W razie czego, daj goryłowi pod żebro!

Naszyjnik przyciągał wzrok wszystkich gości. Perły były wspaniałe. Bez jednej skazy, równiutkie, ogromne i opalizujące w świetle kinkietów.

Wybuchły brawa i błysnęły flesze. Ktoś coś mówił w imieniu organizatorów koncertu, w imieniu hotelu i władz miasta. Pete zręcznie holował Jupitera, jak się dało najbliżej. Byli już o krok, gdy nagle wysiadło światło. Kryształowe żyrandole zgasły niczym świece na urodzinowym torcie. Zapanował totalny chaos, konsternacja i egipskie ciemności, gdyż okna, zasłonięte żaluzjami i dodatkowo ciężkimi portierami, nie przepuszczały dziennego światła.

Jupiter usłyszał histeryczny kobiecy głos, ktoś go potrącił, ktoś nadepnął na nogę. Przed oczyma mignęły mu plecy i zielona poświata odpływająca ku drzwiom.

- Pete! - zawołał.

Ale Crenshaw, odepchnięty przez wrzeszczącą ze strachu platynową blondynkę, potknął się i rozłożył jak długi.

- Jupe!

W tym samym momencie światło znów rozbłysło. Na środku sali wciąż kłębił się zdezorientowany tłum.

- Mój naszyjnik! - rozległ się krzyk Patrycji. - Ktoś mi zdjął z szyi perły!

W sali bankietowej zapanował zupełny koniec świata. Ludzie biegali depcząc sobie po piętach. Ale straż hotelowa zadziałała błyskawicznie, zamykając wszystkie drzwi.

- Spokój! Proszę państwa o spokój! - wołał dyrektor, wspiąwszy się na podest.

Goście pomału wracali do równowagi. Tylko Patrycja otoczona ochroniarzami lkała na ramieniu Toma.

- Jak to się mogło stać? - wymruczał Pete wstając z podłogi. Musiał to zrobić możliwie szybko, by nie zostać zdeptanym na śmierć.

Jupiter Jones skubał dolną wargę.

- Mówiąc między nami, spodziewałem się tego. Wcześniej czy później.

Pete obciągał rękawy.

- Ukradli naszyjnik dla pereł czy z powodu znaków na zamczku?

- Dla zamczka mógł ukraść tylko ten, kto nie wiedział o wymianie - odparł Jupiter Jones. - Trzeba to wszystko wieczorem omówić. Tymczasem pójdziemy coś zjeść - dorzucił, ciągnąc Crenshawa w stronę zastawionych stołów.

- Myślisz o jedzeniu zamiast o perłach? - Pete wpatrywał się w ruszającego szczęką przyjaciela. W ustach Jupitera znikły po kolei kruche babeczki z grzybami i różowe płaty łososia.

- Jedzenie zawsze pobudza moje szare komórki - westchnął Pierwszy Detektyw.

- O naszyjniku też myślę. Bo wiem, że on... tu jest!

- Zwariowałaś? Ukryty w wazie z ponczem?

- Nie. Gdzieś indziej. Daję jedyną głowę, jaką mam, że ich wcale nie wyniesiono. Tych pereł. One tu są. I znajdę je!

Pete ze zdenerwowania włożył do ust ogromny kawał pasztetu. Żuł go, popychając bułką.

- Aaak... aaajdziesz?

- Jak znajde? - domyślił się Jupe. - No... tego na razie nie powiem. Sprawdź, gdzie są dziewczyny, i spróbuj znaleźć Boba. Nie zapomnij, że ma na sobie strój hotelowy.

- Przecież wszystkie drzwi są zamknięte. Bob nie mógł wejść!

- Nie kłóć się. Sprawdź. Wierzę w inteligencję i spryt Boba. A teraz zostaw mnie samego, jeśli łaska. Muszę pomyśleć. I coś... przegryźć.

Policja pojawiła się dość szybko. Za zamkniętymi drzwiami aż się roilo od mundurowych. Wewnątrz sali bankietowej znalazło się trzech cywilów. Wyglądali na wysoką szarżę w swoim zawodzie.

Bob, w brązowym uniformie, odszukał kolegów, gdy tylko stało się to możliwe.



Do środka wpuszczano. Ale z sali nikt nie mógł wyjść. Obie dziewczyny miały wypieki na policzkach.

- Jak to się stało? - Agata poprawiała okulary na nosie.

Bob ściągnął z półmiska smażone w miodzie kurze udko.

- Wiem tylko, że światło zostało wyłączone w centrali. Stałem niedaleko. Zrobił to jakiś facet w czarnym dresie, z plaketką na piersi, wyglądający na ochroniarza. Nikt się nie spodziewał, więc go nie goniono. Zniknął w jakimś pomieszczeniu gospodarczym. Miał rude włosy i wąsy.

- Peruka. Charakterystyka - domyślił się Jupe. - Co dalej?

- Darek pognął za nim razem z kilkoma mundurowymi. Może faceta dopadnie. Zna hotelowe zakamarki lepiej niż ktokolwiek. A co było tutaj?

- Wieczorem wszystko opowiem. Wyjdź teraz i obserwuj policjantów. Na ciebie nikt nie zwróci uwagi. Zdawaj z wszystkiego relacje.

- W porządku. Dam się przeszukać i jakoś wyjdę z sali. W każdym razie spróbuję.

Zamieszanie sięgało szczytu. Sprawa nie była błaha. Większość gości to elita miasta i władzy. Same słynne nazwiska. Niekiedy rząd i parlament. Ludzie, można rzec, nietykalni. Z immunitetami.

Agata cichutko wymieniała nazwiska i funkcje. Pete słuchał z otwartymi ustami. W Hollywood zdarzają się party dla świata aktorów. Ale parlamentarzystów na nich nikt nie znajdzie.

Jupiter myślał, oparty o stół z deserami. Inni też wpadli na pomysł przegryzienia czegoś, toteż jadło zniknęło bardzo szybko. Stosy brudnych talerzy zalegały wszędzie. Sprzątaczy i kelnerów nie wpuszczono.

Pete, najedzony po uszy, uczeplił się Moniki.

- Co on mówi? Ten najważniejszy?

Dziewczyna, z czerwonymi policzkami, słuchała uważnie poleceń wydawanych ostrym, nie znoszącym sprzeciwu głosem przez wysokiego, szpakowatego mężczyznę o pobrużdżonej twarzy.

- Nadkomisarz Bury. Mówi, żeby nie panikować. Każdy złoży zeznanie.

Jupiter z wzrastającą uwagą przyglądał się kobiecie w zielonej sukni. Jak przez mgłę pamiętał seledynową poświatę tuż po zapadnięciu ciemności. Przedtem ta kobieta stała o krok od Patrycji. Jedna ubrana na czerwono, druga na zielono. Może dlatego zapamiętał. Jej twarz wydała mu się znajoma.

- Pete - szepnął - przyjrzyj się tej, tam... w zielonej sukni. Kogo ci przypomina?  
Crenshaw zmarszczył brwi.

- Nie wiem.

Jupiter niecierpliwił się coraz bardziej.

- Zaraz... pamiętasz zdjęcia kobiet? Tych z kasetki znalezionej w spalonym domu Patrycji Mc Grove? Jedna to żona prezydenta Marcosa, siostrzenica szachowej Iranu...

- Toya la Roha.

- Tak. Czy pamiętasz twarz tej ostatniej?

Pete gwizdnął przez zęby. Wysoka brunetka o ostrym, nieco lisim podbródku była tą...

- Jasne, Jupe! Producentka kosmetyków z Paryża. Nazywa się...

- Roma Dardy. Jedna z poprzednich właścioelek naszyjnika. To ona! Jej suknię widziałem na moment przed zgaśnięciem światła. I faceta, z którym rozmawia.

- Ten z bardzo jasnymi włosami?

- Tak. - Jupiter przepychał się przez rozgorączkowany tłum, ciągnąc za sobą przyjaciół. - Przedostańmy się w ich pobliże.

Ale to nic nie dało. Roma Dardy rozmawiała o czymś cicho, po francusku.

- Rozumiesz coś, Monika?

Dziewczyna przecząco pokręciła głową. Z sali pomału wychodzili zaproszeni goście. Przypominali orszak ślubny przechodzący wzdłuż szpaleru widzów. Tyle że tym razem "widzami" były wszystkie służby porządkowe. Z hotelowymi włącznie. Dyskretne przesłuchania miały się odbywać w innych salach hotelu.

- To nie przypadek? - Monika prawie ocierała się o zieloną suknię.

- Nie wierzę w takie przypadki - Jupiter bacznie przyglądał się Francuzce. - Sprawa skarbu po generale Tomojuki Jamasita narobiła ostatnio sporo hałasu. Tłum poszukiwaczy runął na Filipiny. Wróciły opowieści o znakach. I wtedy właśnie wszystkie, no, może niektóre, były właścioelki naszyjnika zaczęły marzyć o jego odzyskaniu. Lub choćby sprawdzeniu owych znaków. Nie zapominajcie, że dopiero niedawno ujawniono, iż szyfrem jest układ pereł i mały, złoty zameczek.

- W takim razie na pewno Roma Dardy przyjechała do Warszawy za Patrycją - jeśli to jest ona. Ale możemy sprawdzić w recepcji hotelu. Zrobi to Bob lub Darek.

- Nie ma nawet najmniejszej torebki! - powiedziała Monika. - Gdzie schowała perły? W bieliźnie? W kieszeni blondyna?

- Nonsens - Pete kręcił głową. - Policja ich przeszuka. Nie są nietykalni. Służby specjalne mają w wyposażeniu małe wykrywacze metalu. Wystarczy przejechać takim aparatem po człowieku i rozlega się dzwoniący dźwięk...

Po dwóch godzinach okazało się, że przystojny blondyn bez trudu wyszedł z pokoju przesłuchań. Także Roma Dardy.

- A wy, chłopcy? - zdziwił się nadkomisarz Bury. Jego zmęczona twarz pomalutka szarzała.

- Jesteśmy detektywami z Los Angeles. To znaczy... z Rocky Beach.

Bury uśmiechnął się kącikami ust. Jego angielski był bezbłędny.

- Pozwolicie, że was przeszukamy. Dziewczynę też.

Jupiter Jones nie obraził się. Znał metody, jakimi posługiwała się policja kalifornijska.

- Jesteśmy gośćmi dyrektora LOT-u. Może pan sprawdzić. Oto nasza wizytówka.

Nadkomisarz przesunął dłonią po policzku.

- Sprawdzimy, synu. Oczywiście, że sprawdzimy.

Jupiter chował do kieszeni wcześniej wyjęte skarby: scyzoryk o wielu ostrzach i zużytą chusteczkę do nosa.

- Moim zdaniem on tu jest. Myślę o naszyjniku. Nie wynieśli go.

Zmęczone oczy zabłyśły na moment.

- Tak? A gdzie, jeśli łaska?

Jupiter przestępował z nogi na nogę.

- Na waszym miejscu sprawdziłbym dokładnie dekorację sali. Szczególnie te zielone gałęzie.

Żrenice nadkomisarza przybierały kolor górskiego kryształu.

- Wyjaśnij dokładnie, o czym myślisz. Chodźcie ze mną!

Sala bankietowa robiła niemiłe wrażenie. Po podłodze poniewierały się zużyte papierowe serwetki, stos brudnych naczyń napełniał niesmakiem. Jupiter Jones zrobił kilkanaście kroków, przekrzywił głowę i wskazał dłonią nisko zwieszające się festony z jedliny.

- To coś... jak się nazywa?

- Jemioła. Co z tego?

- Proste - Jupiter skubał wargę - mają takie białe kulki. Bardzo podobne do...

- Perłę, tak?

Policjanci w sile trzydziestu chłopca rzucili się sprawdzać. Jakie było zdumienie ich szefa, gdy nagle rozległ się wrzask:

- Jest! Nadkomisarzu, jest!

Tak, jak to przewidział Pierwszy Detektyw, naszyjnik umieszczono wśród żółtawych gałązek jemioli. Jasne perły powiększały tylko ilość białych kulek - owoców. Czarne wtopiły się w tło.

Przez następną godzinę Jupiter Jones i Pete Crenshaw należeli do najbardziej pożądanym gości Komendy Głównej Policji. Kiedy się znów znaleźli w hotelu, odwiezieni z pompą i paradą, Bob nie mógł się nadziwić.

- Jak na to wpadłeś, Juve?

- Dedukcja i obserwacja terenu. Od tego zawsze zaczyna pracę dobry detektyw.

- Nie podejrzewali, że to wy ukradliście naszyjnik? - Monika dłużyła widelczykiem w ciastku. Hotel Marriott stanął na wysokości zadania: zaprosił kilkanaście osób na mały, prywatny bankiet. Dyrektor był tak szczęśliwy z odnalezienia zguby, że chciał dać chłopcom elegancki apartament tuż obok gwiazdy rocka.

- Może i nas podejrzewali. Ale krótko.

- Powiedziałaś wszystko o naszyjniku? - Bob miał oczy wielkości deserowych talerzyków. Szczęśliwie rozstał się już z mundurkiem hotelowego boya.

- Tylko tyle, ile trzeba - mruknął Pete wyciągając nogi.

Do saloniku weszła, kołysząc się niby trzcina na wietrze, sama czekoladowa Patrycja Mc Grove. Za nią, w odstępnie metra, siedł nieodłączny ochroniarz - Tom.

- Chłopcy! - obrzuciła ich spojrzeniem czarnych, błyszczących oczu. - Jestem wam winna wdzięczność bez granic!

Pete zerwał się z fotela.

- Jesteśmy detektywami! To nasza praca!

- Co mogę dla was zrobić? - spytała siadając z nogą założoną na nogę.

- Może nam pani dać coś na pamiątkę - wyjąkał Jupiter speszony bliskością wielkiej gwiazdy. - Coś, co ma związek z naszyjnikiem.

- Co? - zdziwiła się szczerze piosenkarka. - Jedną z pereł?

Pete niezręcznie postawił szklanke. Coca-cola chlusnęła na serwetę.

- Nie! Nie zależy nam na perłach. Ani na pieniądzech! Chcemy tylko zobaczyć naszyjnik z bliska.

Patrycja Mc Grove roześmiała się.

- Tom. Przynies kasetkę. Weź kilku hotelowych ochroniarzy. Nie chcę, by po drodze wyparował... raz jeszcze.

Jupiter przekrzywił głowę. Był prawie pewien, że Patrycja nic nie wie o zaszyfrowanych znakach. Może jej nie interesował skarb na Filipinach? Ale ktoś z jej otoczenia wiedział. Kto? Tom? Affley Buck? Wyrzucony z garderoby były mąż, Tim Sirogata?

- Czy... czy pani wie, że dom w Malibu spłonął?

Oczy dziewczyny zmatowiały.

- Tak. Słyszałam. Szkoda go. Miałam tam spokój. I piękny widok ze skały na szczycie kanionu. Kto to mógł zrobić?

Wrócił Tom z kasetką i obstawą. Patrycja Mc Grove bez namysłu wyrzuciła całą zawartość wprost na stół. Po serwecie rozsypały się, iskrząc, diamenty, brylanty i szafiry. Grube złote bransolety dźwięczały obok kolczyków z rubinami i zwykłych, plastikowych ozdób.

- Co za bałagan! - roześmiała się przebiegając palcami o długich paznokciach w kolorze purpury. Odsunęła drugie dno kasety. Na czarnym aksamicie leżał ON - naszyjnik. Perły miały ciepły, lekko przygaszony odcień. Były wspaniałe.

Bob błyskawicznie policzył kulki. W myśli zapamiętał układ i kolory. Przyjrzał się zameczkowi.

- Łatwo go otworzyć - powiedział zdziwiony.

- Właśnie! - przytaknęła piosenkarka - Tamten, zepsuty, miał dodatkowe zabezpieczenie. Ale w Paryżu musiałam go szybko wymienić. Jubiler, który to robił, obiecywał gwarancję - roześmiała się gorzko.

- A gdzie jest ten stary zameczek? - spytał Pete.

Piosenkarka grzebała w rozrzuconych "śmieciach".

- Nigdy niczego nie wyrzucam - szeptała. - Musi tu gdzieś być! Zbieram nawet kawałki klejnotów, jak sroka. Taka już jestem. Może... ten paryski jubiler nie oddał? Nie, to niemożliwe...

Istotnie. Ten fragment naszyjnika zginął.

- Szkoda - zafrasował się Bob.

- Przykro mi - sumitowała się piosenkarka. - Po powrocie do Stanów znów zmienię zapięcie.

Jupiter się zamyślił.

- Czy pani pamięta, od kogo kupiła ten wspaniały naszyjnik?

Patrycja Mc Grove przesunęła dłonią po tysiącu cienkich warkoczków. Wyglądały, jakby nigdy nie były rozplatane.

- Kupiłam go na aukcji w Londynie. Firma Sotheby's. Pasował do piosenki. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tylko takie, że poprzednia właścicielka była na cocktailu. Stała tuż obok pani. Nazywa się Roma Dardy. Jest właścicielką firmy kosmetycznej "Christine". Z Paryża.

Patrycja potrząsnęła włosami. Jej palce uważnie zbierały ze stołu klejnoty. Wrzucała je do kasety jakby z żalem.

- Nic mi to nie mówi, używam wyłącznie kosmetyków C6ty'ego. Coś jeszcze, panie detektywie?

Jupiter rozłożył dłonie. Był prawie pewien, że Patrycja nie uczestniczyła w naszyjnikowej aferze.

- Pani były mąż, Affley Buck, gra dalej w zespole? - Bob wpatrywał się z zachwytem, jak Tom ponownie przykuwa się do kasety.

Jupe posłał mu zadowolone spojrzenie. Sam chciał o to zapytać.

- Affley? Tak, miał grać w Polsce. Bardzo mu na tym zależało. Nie wiem dlaczego. Tak, jak nie wiem, po co przyjechał tu inny z moich mężów: Tim Sirogata. No, na mnie już czas. Za godzina odlatuję na jedną z greckich wysp. Trochę tu zimno, w Warszawie!

Gwiazda majestatycznie przepłynęła do wyjścia. Chłopcy odprowadzili ją wzrokiem, aż zniknęła za szklanymi drzwiami.

- Tak bym chciała być na jej miejscu! - westchnęła Monika. Cały czas siedziała milcząca, wpatrzona w elegancką suknię i stos błyszczących klejnotów.

Pete zjadł rogalika z orzechami.

- Bez sensu. O wiele spokojniej żyje się na Pradze.

Monika uśmiechnęła się. Nikt nie zamieni ulicy Białostockiej na grecką wyspę? Otoczona morzem, ogrzana ciepłym słońcem? A może zamieniłby na Rocky Beach?

## ROZDZIAŁ 10

### TAJEMNICA ŻŁOTEGO ZAMECZKA

Wieczorem chłopcy zrobili naradę. Nie wpuścili do pokoju ani ciotki Urszuli z misą orzechów, ani wuja Karola pobrzękującego puszkami coca-coli.

- Jesteśmy w punkcie wyjścia - powiedział ponuro Jupiter zdejmując marynarkę. Czuł się w niej jak żaba we fraku.

- Nieprawda! - zaperzył się Bob. - Znalazłeś ukradziony naszyjnik! I poznaliśmy Patrycję.

- Ale gdzie zgubiliśmy Affleya, zameczek z szyfrem, Romę Dardy, Tima Sirogatę i tego, który potrafił w dwie sekundy zdjąć Patrycji z szyi perły? Nie wiemy, kto zgasił światło i gdzie na Filipinach ukryto skarb.

Jupiter znów skubał wargę.

- Gdzie mieszkają członkowie zespołu Patrycji? Także Willi Crash?

- W Marriottcie - odparł Bob. - Wiem, bo sprawdziliśmy to z Darkiem.

- Jutro złożymy im wizytę.

Pete uniósł zaczerwienioną twarz. Właśnie wykonał dwadzieścia pompek. W Warszawie miał zdecydowanie za mało ruchu.

- Ale oni już jutro wyjeżdżają.

Jupiter spojrzał na Boba.

- Nie wiem dokładnie. Do dwunastej muszą opuścić pokoje. Lecą liniami American Airlines bezpośrednio do Los Angeles, jak znam życie, czas wolny spędzą w hotelowym barze.

Jupiter kiwnął głową.

- Powinniśmy zawiadomić Darka. Szkoda, że ciotka Urszula nie ma telefonu. Zupełnie nie rozumiem, jak można żyć bez tego środka łączności. Wy rozumiecie?

Obaj przecząco pokręcili głowami. Skąd mogli wiedzieć, że jeszcze kilka lat temu zdobycie numeru telefonicznego w stolicy Polski było trudniejsze od lotu w kosmos?

Już o ósmej rano, ku rozpaczy ciotki Urszuli, bez śniadania, wywlekli zaspaną Monikę z łóżka.

- Dajcie pożyć! - mruzczała niezadowolona. - Mam świąteczne wakacje.

Pete zrobił przymilne oczy.

- Ależ my pojutrze wyjeżdżamy! Nasz samolot odlatuje z Okęcia o dziewiątej wieczorem.

- Mamo! - jęknęła dziewczyna. - Oni wyjeżdżają!

Ciotka Urszula załamała pulchne dłonie, wskazując zamrażarkę w kuchni.

- No nie! Mam trzy indyki na święta! Upiekę makowiec, babkę i sernik! Matylda mi was nie odbierze!

Monika otoczyła matkę ramionami.

- Ależ, mamo. Oni mają rodziców. Ci rodzice też upieką indyki. Czekają na nich.

Ale ciotka Urszula długo jeszcze rozpaczała, chodząc tam i z powrotem od lodówki do piekarnika.

Garbus z trudem przedzierał się przez zatłoczony most na Wiśle. Iglica pałacu Kultury i Nauki tonęła w chmurach. Powietrze było ostre, ale nie padał śnieg. Jezdnie i chodniki błyszczały wilgocią.

- Zaparkuję najbliżej, jak się da. Zaczekajcie na mnie w holu!

Chłopcy pobiegli kłusem, co chwila zaczepiani przez świętych Mikołajów z ulotkami. W biurach LOT-u nie było Agaty. Za to w hotelowym holu zobaczyli coś, co na moment zatkało im oddech. W dalekim kącie, nad szklaneczką whisky siedzieli sobie spokojnie dwaj panowie: Affley Buck oraz ochroniarz Patrycji - Tom. Z nachylnymi głowami szeptali coś, czego, niestety, żaden z detektywów nie mógł podsłuchać.

- Co ty na to, Jupe? - wyjąkał Bob.

- Zaczyna się rozjaśniać - mruknął Pete. - Panowie coś razem zaplanowali. Naszyjnik zdjął z szyi Patrycji jej ukochany ochroniarz. Zrobił to w dwie sekundy. Umiał się z perłami obchodzić. Jak nikt inny.

- I podał go komuś? - powiedział Bob zdejmując czapkę. - Sam nie umieścił go pomiędzy jemiolą.

- Tak. W zamieszaniu nikt się przecież nikomu nie przyglądał. Ale Affleya tam nie było.

- Nie było. Ani Tima Sirogaty.

Wpadł Darek, wyraźnie ucieszony.

- Macie tu sławę bohaterów! Szczególnie Jupe! Wszyscy są pod wrażeniem. Monika, przetłumacz!

Dziewczyna spełniła prośbę. Zdziwiło ją tylko, że Trzej Detektywi wycofują się



rakiem z holu.

- Coś się dzieje? - spytała przytomnie.

- Tak, zejdźmy na bok. W tamten korytarzyk. Musimy mieć wgląd do holu, ale tak, żeby nas nie widziano.

Darek w lot zrozumiał intencję chłopców.

- Obserwujecie tych dwóch? Przecież to ochroniarz Patrycji! Nie poleciał z nią na wyspę?

Pete popukał się palcem w czoło.

- Grecki multimilioner ma swoich. Może bardziej lojalnych niż Tom.

- Coś daje Affleyowi! - syknął Bob. - Coś malutkiego.

Jupe zagryzł wargi. Wiedział, co to było. Niestety, nie mógł temu przeciwdziałać. Tom wstał i odszedł w stronę baru. Affley samotnie pociągał ze szklaneczki.

- Gdzie są inni członkowie zespołu Patrycji? - Pete ani na moment nie przestawał obserwować holu.

- W barze. Część w kawiarni. Tylko ten gitarzysta tkwi w fotelu. Wygląda, jakby zasnął.

Istotnie. Affley Buck miał przymknięte oczy i głowę opartą o brązowe poduszki. Spod pachy wystawała mu mała, czarna aktówka. Do holu weszła grupa mężczyzn. Wszyscy, elegancko ubrani, wyglądali na pracowników pobliskiego banku. Na ich widok oczy Darka zwęziły się niebezpiecznie.

- O, do licha! To banda kieszonkowców. Znam ich - wyjął telefon komórkowy. - Muszę dać znać ochronie.

- Zaczekaj sekundę. Mam pomysł. Posłuchaj...

Pete i Bob natychmiast zrozumieli intencję szefa. Pociągnęli Monikę w kierunku foteli. Wiedzieli, że Buck ich nie rozpozna. Widzieli się raz tylko, w Los Angeles. W Chińskim Teatrze. Usiedli w sąsiednich fotelach tak, by odizolować odpoczywającego od innych gości.

Darek dyskretnie dał znać ochroniarzom. Gdy się pojawili w polu widzenia, pięciu dżentelmenów natychmiast wycofało się na ulicę. Ale pozostał jeden. Jak sroka wpatrzony w czarną aktówkę. Wystarczył jeden ruch specja w złodziejskim fachu, by przedmiot pożądania zniknął pod jego marynarką. Niestety, facet nie uszedł daleko. Tuż za wyjściem, już na chodniku, został wzięty w dwa ognie. Obyło się bez policji. Ale aktówka, na chwilę, stała się własnością Trzech Detektywów.

- Zaraz musicie ją zwrócić - szeptał szef ochroniarzy. - Gdyby nie wasz wczorajszy wyczyn, nigdy bym się na to nie zgodził.

Jupiter otworzył aktówkę.

- To jest dalszy ciąg tej samej sprawy. Pete, wiesz, czego szukamy?

Crenshaw nie miał tak delikatnych palców jak Bob. Ale już po chwili obaj pochylili głowy nad małym, złotym przedmiocikiem, opakowanym w serwetkę i umieszczonym w bocznej kieszonce.

- Jest! Zameczek z naszyjnika. Sprawdź znaki.

- Jakieś linie i punkty. Daj kartkę, Pete. Odrysuję. Coś... jakby trójkąt. Zaraz...

- Kończcie! - denerwował się ochroniarz. - Musimy oddać aktówkę właścicielowi.

- Już! Zmywamy się. Gdzie Monika?

Dziewczyna z oddali obserwowała całą scenę.

- Cześć, Darek - powiedziała z uśmiechem. - Zdaje się, że bardzo pomogłeś moim detektywom.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **ILE WYSP LICZY ARCHIPELAG FILIPIŃSKI?**

Na Białostockiej trwały świąteczne porządki. Na szczęście pokój chłopców został już posprzątaný. Ciotka Urszula zdążyła nawet przetrzeć okna.

- Po południu pójdziecie z Karolem po choinkę.

Trzej Detektywi popatrywali po sobie. Wcale im się nie chciało wychodzić z ciepłego mieszkania, tym bardziej że mieli własne plany na popołudnie. Ale żaden nie ośmielił się zaprotestować. Byli wszak gośćmi. A goście, jak wiadomo, są własnością gospodarzy. W każdym razie w Polsce.

- Dobrze. Musimy jeszcze kupić prezenty dla rodzin w Kalifornii. Tyle, że nie wiemy co.

- Monika wam pokaże. Jest mnóstwo wspaniałych sklepów. Dla mam może coś z bursztynu. To polska specjalność.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, detektywi rzucili się na maleńką karteczkę.

- Monika, przynieś szkło powiększające.

Dziewczyna zniknęła w swoim pokoju.

- Ciekawe, co z tą informacją zrobi Affley? Czy potrafi sam rozszyfrować znaki?

Wróciła Monika. Szkło powiększało znakomicie.

- Teraz daj atlas geograficzny. Tam muszą być Filipiny. Nie mieliśmy dotąd czasu, żeby się im przyjrzeć.

Bob wziął długopis.

- Spróbuję to narysować dokładniej - zagrała w nim dusza archiwisty.

Ale z atlasu niewiele mogli odczytać. Zaskoczyła ich mnogość wysp.

Pete odłożył szkło. Pokiwał głową.

- Cyfry, znaki... sądzę, że to tylko część informacji. Stary lis, generał Tomojuki Jamasita, podzielił wskazówki na kilka części. Moim zdaniem najważniejszej jeszcze brakuje.

Bob gryzł długopis, wpatrzony jak sroka w atlas.

- Ludzie, czy wy wiecie, że Archipelag Filipiński składa się z ponad siedmiu tysięcy wysp! W tym dwa tysiące czterysta czterdzieści zamieszkaných! Nigdy nie znajdziemy skarbu!

- Dlatego nie pojechaliśmy na Filipiny, tylko do Warszawy - spokojnie

stwierdził Jupiter Jones. - Skarb znajdziemy dedukując. Nie zaś miotając się od palmy do palmy! Głową, panowie detektywi !

Bob mruczał słabnącym głosem:

- Nindanao, Luzon, Mindoro, Panay, Negros, Samar... - to te największe wyspy. Są i całkiem małe jak Bohol czy Marinduque pomiędzy Mindoro a Luzon.

- Gdzie mógł stacjonować japoński generał? W stolicy - rzucił Jupe. - Stolica nazywa się Quezon. Ale rząd siedzi w Manili. Filipiny były kolonią hiszpańską, potem amerykańską. Niepodległość uzyskały dopiero w 1946 roku. Czyli po wojnie.

- Na wyspie są czynne i wygasłe wulkany - czytała Monika pochylona nad podręcznikiem geografii.

- Nie schowali skarbu w gorącej lawie! - zaprotestował Pete.

- Nie. Ale są tam też bujne lasy monsunowe, równikowe. Bywają trzęsienia ziemi...

- To nie ma znaczenia! - machnął dłonią Jupe. - W Kalifornii też są trzęsienia ziemi. Nauczyliśmy się z tym żyć. Gdzie są największe skupiska palm?

- Na wyspie Luzon koło Laguna de Bay.

- Nigdy nie znajdziemy skarbu! - jęknął Bob.

Jupiter Jones wzruszył ramionami.

- A jak go znalazł Sirogata? A nieboszczyk Sam Gomez? No, jak? Musimy zaprząć do pracy nasze mózgi. I... liczyć na łut szczęścia!

Bob rysował pracowicie, wysunawszy język. Na dużej kartce papieru linie i kropki nabierały tajemniczych kształtów.

- Staram się zachować właściwe proporcje - powiedział. - Sądzę, że będzie nam potrzebna mapa sztabowa. Z czasów wojny. Kto mógłby taką mieć?

- Japończycy. Także Tim Sirogata.

Jupiter skubał wargę.

- Zastanawia mnie, dlaczego wszyscy stawili się w Warszawie: Affley Buck, Tim Sirogata, Roma Dardy?

- Chcieli odzyskać ten drobiazg, który Bob tak pracowicie odrysowuje. Wcześniej niewiele o nim słyszano. Każdy z nich potrzebował pomocnika, zauważyliście? Tom pracował dla Affleya. Z kim chciał wejść w spółkę Sirogata? Myślę, że liczył na... Patrycję. Ale ona o niczym nie wiedziała. Dardy? Nie zapominajcie, że zameczek wymienił jubiler paryski. Puzzle powolutku zaczynają się układać...

- Gdzie schować rysunek? - spytał Bob.

- Jest cenny - powiedział Pete - wart parę milionów dolarów!

- Dlatego nigdzie go nie chowaj! - poradziła praktyczna Monika. - Trzymaj w kalendarzyku. Jakby nigdy nic. A dla zmylenia wyrysuj dwa inne, byle jakie kropki, gwiazdki... i te rysunki schowaj!

- Byłabyś niezłym czwartym detektywem! - roześmiał się Jupiter.

Po obiedzie wszyscy wyszli po zakupy. Oprócz wielkiej choinki, którą niósł wuj Karol, chłopcy kupili oprawne w srebro bursztyny i pięknie haftowane, ludowe obrusy.

W ostatnią noc mało spali. Bardzo długo siedzieli przy kolacji, zajadając przysmaki i opowiadając o swoim życiu w Rocky Beach.

- Więc mówisz, że za waszym składem złomu rosną drzewka cytrynowe?

Jupe skinął głową.

- Jest inaczej niż tutaj. Monika, wytłumacz wujkowi, że nasz skład złomu to raczej najbardziej ekskluzywna rupieciarnia na całym zachodnim wybrzeżu.

Wujek pokiwał głową.

- U mnie jest tylko złom metali. A za płotem ruchliwa ulica. jeśli coś tam rośnie... to tylko pokrzywy! No, chłopcy, czas spać!

Okęcie huczało od startujących maszyn. Monika machała dłonią. Miała łzy w oczach. Polubiła Trzech Detektywów i ich szaleństwa.

- Gdzie leziesz, Pete! - powiedział Jupiter unosząc torbę. Bagaze oddali już godzinę temu. - Nasze wyjście to Gate 55. Żegnaj, zaśnieżona Warszawo! Miło było.

- I jesteśmy nieco mądrzejsi! - uśmiechnął się Bob. - Więcej wiemy niż przed wyjazdem.

W potężnym Boeingu 767 mieli miejsca obok siebie. Uroczą stewardessa usadowiła zdumionych chłopców w klasie business.

- To prezent od American Airlines - powiedziała ciepło. - Trzy posiłki dodatkowo i szampan.

Bob przełknął ślinę.

- Który z was ostatnio pił szampana? Bo ja nie!

Ale to nie był koniec niespodzianek. Druga stewardessa postawiła Jupiterowi na kolana ładnie opakowane pudełko. Na wierzchu wyraźnie wykaligrafowano jego nazwisko.

- Co to takiego? Mam nadzieję, że nie bomba?

Stewardessa zachichotała.

- Wszystko zostało sprawdzone!

Jupe z zaciekawieniem rozwijał papier. W białym, tekturowym pudełku była... gałązka jemioli i list.

- Od nadkomisarza Burego! - ucieszył się Jupe. - Posłuchajcie, co pisze:

*Drodzy Trzej Detektywi! Jestem wam winien wdzięczność za doskonały pomysł, który doprowadził do odkrycia ukradzionego naszyjnika. Dlatego postanowiłem powiadomić Was o następstwach śledztwa. Na peruce i wąsach, porzuconych w hotelowej toalecie, a także na odzieży imitującej czarny kombinezon służby ochronnej znaleźliśmy odciski palców niejakiego Tima Sirogaty, obywatela USA. Zatrzymaliśmy go i obecnie jest przesłuchiwany...*

- Powiedziałeś mu o Timie? - zdziwił się Pete.

- Tak. Nie było powodu, by to zataić. Sirogata w niczym nam już nie pomoże ani nie zaszkodzi! Słuchajcie dalej...

*Z tego, co już zeznał, wynika, iż wspólnie z przyjacielem, niejakim Rene Oubri, mieli wywieźć naszyjnik do Paryża. Pan Oubri to znany Interpolowi, wysoki blondyn, który w hotelu pojawił się w towarzystwie Romy Dardy. To nie on zdjął perły z szyi Patrycji Mc Crowe. Uprzedził go jej własny ochroniarz - Tom. Ale to zapewne już sami wiecie. Wasza dedukcja jest profesjonalna! Łączę serdeczne pozdrowienia i życzenia odkrycia skarbu!*

*Nadkomisarz Sławomir Bury.*

- No, to się wyjaśniło. - Jupiter oblizał wargi. Stewardessa roznosiła tacki z jedzeniem. - Miło ze strony komisarza.

- Jemiolę powiesimy w Kwaterze Głównej.

- Nigdy! - zaprotestował Pete. - Tam przychodzi Vanessa! Mógłby jej wpaść do głowy głupi pomysł...

Pozostali wybuchnęli gromkim śmiechem. Bob obejrzał się na współpasażerów, sądząc, że ich skarcą za zbyt hałasowanie. Ale jego wzrok spotkał się tylko z jednym: na końcu kabiny tkwił z głową na oparciu Affley Buck.

- Bądźcie cicho. Affley z nami leci!

Ale to jeszcze bardziej rozbawiło Jupitera.

- Niczego nie zrozumie z szyfru! Będzie gapić się na złoty zameczek, aż porośnie pajęczyną!

Samolot ryczał całą mocą silników. Pod skrzydłami przesuwała się Europa. Stary Kontynent.

- Już nie mogę, ciociu Matyldo - powiedział Jupe zjadłszy dwie porcje ulubionego bekonu z pomidorami i grzybami. - Urszula karmiła nas pięć razy dziennie. Jak na mój gust, jedzą za dużo kapusty. I mięsa.

Ciotka Matylda przymierzała naszyjnik z bursztynów.

- Niewiele mi o nich opowiedziałeś, Jupe - westchnęła. - Myślę, że Monika mogłaby do nas przyjechać na wakacje.

- Dobry pomysł, ciociu. Ale myśmy się uganiali za Patrycją. Dla Trzech Detektywów ona była najważniejsza.

- Ale Urszula...

- Nie upieraj się, Matyldo! - wuj Tytus ssał fajkę z korzenia wrzośca, prezent z Warszawy. - Przyjdzie pora, to ci wszystko opowie. Daj chłopakowi odetchnąć.

O drugiej zatelefonował Bob..

- Musicie z Pete'em przyjechać do Sun-Press.

- Do Santa Barbara? Po co?

- Nie pytaj. Zabierz Crenshawa i przyjeżdżajcie. Redakcja mieści się w takim pseudomarokańskim budynku przy Dela Guena Plaza.

- Dobrze. Wiem, gdzie to jest.

Pete był zaspany i nieszczęśliwy.

- Koniecznie dziś? Nie możemy poczekać do jutra?

- Wierzę Bobowi, że to ważne.

W redakcji czekała na nich niespodzianka pod postacią pięciu dziennikarzy i komisarza Billa Gregga z biura prokuratora okręgowego.

- Stajecie się sławni, chłopcy - ojciec Boba dokonywał prezentacji - zainteresował się wami Interpol. A to za sprawą wizyty w Warszawie. Okazuje się jednak, że sprawa złota na Filipinach ma również polityczny wydźwięk. Zajął się tym nawet Biały Dom.

Jupiter wypiął pierś.

- Należało się tego spodziewać. Skarbem zainteresowany jest też zapewne rząd Japonii.

- Nie mówiąc o prezydencie Filipin! - dorzucił jeden z dziennikarzy. - Musicie

nam powiedzieć wszystko, co wiecie.

Bili Gregg przetarł okulary w cienkiej, złotej oprawce. Miał szare oczy, szare włosy i niemodny szary garnitur.

- Powiem wam rzecz poufną. I niech to zostanie między nami...

- Detektywami! - dorzucił Pete moszcząc się w skórzanym fotelu.

- Jak wiecie, w grę wchodzi interesy Stanów Zjednoczonych. Musicie dokładnie powiedzieć nam, co odkryliście.

- A co wy wiecie? - zagadnął Bob. Jego ojciec wybuchnął śmiechem.

- Ma rację chłopak!

- Wiemy tyle - złote oprawki błysnęły - co nic. I to nas szalenie martwi.

Jupiter Jones uśmiechnął się pod nosem. Trzej Detektywi okazali się lepsi od Interpolu, FBI i Bóg wie kogo jeszcze. Sięgnął do kieszonki bluzy.

- Oto rysunek sporządzony naprędce w Warszawie. Przedstawia znaki wryte na złotym zameczku naszyjnika z pereł. Zrozumieć je można jedynie wtedy, kiedy się sprawdzi wojenne mapy sztabowe Filipin.

Dziennikarze pochyłili głowy nad kartką.

- Oczywiście, nigdy nie dowiemy się, w jaki sposób weszliście w posiadanie tych rewelacji?

- Nigdy - spokojnie potwierdził Pete. - Teraz rysunek jest także wasz. Sądzę jednak, że to my pierwsi rozwikłamy sprawę.

Komisarz Bili Gregg zacisnął wargi.

- Nie będę się spierał. Ale czas nagli. Wczoraj w Manili wylądowali panowie Affley Buck i niejaki Tom Bradley.

- Kto to jest Bradley? - zaciekawiał się Pete.

- Zapewne osobisty ochroniarz Patrycji.

- Tak. Mieszkają w Manili w hotelu Cariton. Pokój 303.

Trzej Detektywi spojrzeli po sobie.

- Ale afera!

- Oczywiście - ciągnął komisarz z biura prokuratora okręgowego - filipińskie służby specjalne śledzą każdy ich krok. Jak dotąd, doskonale sobie radziliście. Szczególnie w Warszawie. Mam dla was pełne uznanie, ale proszę - głos Gregga ścichł - gdybyście wpadli na jakiś nowy trop...

- Naturalnie! - zgodził się Bob. - Zawiadomimy tatę.



Wracali do Rocky Beach w ponurym nastroju.

- Wpakowali się do naszych pereł! - mruczał Pete.

- Międzynarodowa afera! - warknął Bob. - Biały Dom nie ma ważniejszych spraw?

- Trzeba wszystko od nowa uporządkować - powiedział Jupe wtaczając starego forda za ogrodzenie Kwatery Głównej. - Jest wiele niejasnych punktów.

- Pokażemy im, gdzie raki zimują! - Pete otwierał zardzewiały zamek. W ogromnym pomieszczeniu, na każdym przedmiocie, z komputerem i telefonem na czele, leżała gruba warstwa kurzu.

- Chyba trzeba ściągnąć Vanessę! - roześmiał się Jupe zaglądając do lodówki. - Uwielbia sprzątać!

Pete stał w drzwiach, z oczyma utkwionymi w czerwonej kanapie. Przyglądał się z uwagą ranom zadany ostrym nożem. Poduszki i siedzenie mebla wyglądały nie najlepiej.

- Od dawna nie daje mi spokoju myśl, czego w tej kanapie szukano. Obaj panowie: mąż Toi la Roha i Affley Buck.

- Mógł być jeszcze ktoś wcześniej.

- Mógł. Dowiem się w Biurze Pośredników. Takie komplety mebli sprzedaje się na ogół poprzez biuro. - Bob sięgnął po słuchawkę. - Mają wykazy rzeczy sprzedanych.

Trwało to, bo trwało, ale amerykański system sprzedaży "z drugiej ręki" miał solidną, biurokratyczną strukturę. I wszystkie faktury od pięćdziesięciu lat. Po długich godzinach wyczekiwania odpowiedź zaskoczyła wszystkich.

- Nie do wiary! - wykrzyknął Bob ocierając czerwone i spocone ucho. Słuchawka rozżarzyła się chyba do białości. - Cały komplet czerwonych, skórzanych mebli, zanim trafił do rodziny la Roha, przybył frachtem z Filipin razem z japońską rodziną o nazwisku...

- Jamasita! - ryknął Jupe. - Tak?

Bob skinął głową.

- Ale heca! Sam generał!

## ROZDZIAŁ 12

### CO BYŁO W CZERWONEJ KANAPIE?

Przez następny dzień chłopcy ostukiwali i opukiwali zniszczony mebel. Bez rezultatu.

- Poduchy są wybebeszone od dawna. Także oparcie. Co zostaje?

- Nogi - odparł flegmatycznie Pete. I nagle głośno zagwizdał. - Wiem!

- Co: wiesz? - Jupe z uwagą przyglądał się ostrzu długiego noża do patroszenia ryb. Dostali go z całym dobrodziejstwem inwentarza, razem z budynkiem i składzikiem na sieci.

Pete delikatnie wsunął ostrze pomiędzy dwa sklezione ze sobą kawałki drewna. Były to intarsjowane gąłki tworzące zakończenia oparcia. Rozległ się cichy trzask. Oczom chłopców ukazała się mała skrytka.

- Genialne! - wyjąkał Bob. - Co jest w środku?

- Zamszowy woreczek.

- A w nim? - Jupe czuł przyspieszone bicie serca.

- Koralki. Zwykle koralki!

Zdenerwowany Bob zwichrzył czuprynę.

- Nie mogą być zwykłe. Coś znaczą. I mają różne kolory.

- Następną wskazówką - powiedział podekscytowany Jupe. - I podejrzewam, że ostatnia.

Układali małe koralki według kolorów. I liczby.

- Ilość ma znaczenie - upierał się Pete.

- Oczywiście! - Jupiterowi zabłysły oczy. - Znacie tę zabawę? W szkole bawiliśmy się w "zakodowane tajemnice".

Bob uśmiechnął się. Kiedy to było!

- No tak. Zamienialiśmy litery na cyfry. Cały alfabet. Na przykład litera A = 1, B = 2. I tak dalej. Wszystkie dzieci tak się bawią! Nie sądzisz, że...

Pete rozcapierzył palce.

- Ilość koralek to litera! Także ilość pereł?

- Genialne! I jakie proste! - Bob cieszył się niczym dziecko. - Alfabet!

- Tylko jaki? Japoński czy nasz? - pytanie miało swój ciężar. Alfabet łaciński, oczywiście, znali. Japońskiego - nie. - Wiecie co? - Jupe postanowił działać

natychmiast.- Dajcie tu mapę Filipin, szkło powiększające, szyfr z kasetki, koraliki z saszetki i rysunek z naszyjnika. Nikt nie wstanie z kanapy, dopóki nie znajdziemy rozwiązania!

Pochylili głowy.

- Dwa = B. Szesnaście = O. Osiem = H. I znów szesnaście = O. I dwanaście = L.

- Co to daje? Parę układów. Ale według mnie - Jupiter gorączkowo sunął palcem po atlasie. - BOHOL! Tu jest mała wysepka o tej nazwie. Uprawia się na niej palmy kokosowe...

Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

- Ludzie, wiemy, gdzie generał ukrył skarb! - Bob podskakiwał niczym wróbel. - Teraz koraliki! Pete, ułóż i policz je!

Pete ostrożnie przesuwiał kolorowe kulki.

- Liczę: Niebieskich trzynaście, jeden czarny, zielonych siedemnaście, tych dziewięć, czternaście, cztery, dwadzieścia... jeszcze raz dwadzieścia, pięć i...

- Czekaj - Bob wypisywał litery używając do liczenia palców obu rąk. - To wychodzi... MARINDUUE?

Jupe przeszukiwał mapę.

- Jest! MARINDUQUE! Zgubiłeś literę "Q"! Wyspa pomiędzy Mindoro a Luzon.

Znaleźli! Byli w domu! Wiedzieli w przybliżeniu, gdzie szukać zakopanej biżuterii. A być może, również reszty złota. Trzej Detektywi nie wierzyli własnym oczom!

- Należy to wszystko do siebie dopasować - mruczał oszołomiony Jupe. - Zostały jeszcze perły i tajemnicze znaki na zameczku naszyjnika. Na dziś dosyć! Inaczej nam się mózgi zlasują!

- Idę pograć w koszykówkę! - cieszył się Pete, gdy zmęczeni i podnieceni opuszczali Kwaterę Główną.

- A ja zawiadomię tatę o naszym odkryciu! - entuzjazmował się Bob.

- Ani się waż! - warknął Jupiter Jones chwytając go za ramię. - Jeszcze nie teraz. Nie pozwolę, żeby nam Biały Dom czy biuro prokuratora okręgowego odebrało sławę! Po moim trupie!

- Ale obiecaliśmy... - jęczał Bob.

- Jak wszystko odkryjemy. Na razie znamy tylko nazwy dwóch wysp. I co dalej?

- No... dobrze - ustępował niechętnie Andrews. Tak bardzo chciał pochwalić się przed ojcem. - Ale jeśli nie wymyślisz do końca Świąt, to...

Jupe spiorunował go wzrokiem.

- Ja? Ja nie wymyśle? Dwa dni po Świętach! No?

- Zgoda - Pete nie zgłaszał zastrzeżeń. - I tak nie będę miał czasu. Sam rozumiesz... Święta! Ale jak coś wykombinujesz, daj znać!

- I nie zapomnij napisać listu do Warszawy. Z podziękowaniem za gościnę. Tak się spóźniliśmy... wstyd... jutro Wigilia.

Prawda. Wigilia. Przypominały o tym tysiące choinek za czystymi szybami domów. I święci Mikołajowie z dzwoneczkami przed wejściem do każdego supersamu. Także jodłowe wieńce na wejściowych drzwiach, przybrane czerwienią i złotem. I zapachy dochodzące z tysięcy piekarników w całym Rocky Beach.

Boże Narodzenie Jupiter spędził głównie przy suto zastawionym stole i w swoim pokoju, gdzie, rozciągnięty na dywanie, układał tajemniczego pasjansa. Za oknami szalała wichura, kutry i motorówki schroniły się w zatoce. Na ulicach miasteczka panowała błoga cisza. Samochody przejeżdżały z rzadka i jakby niechętnie. Wszędzie jarzyły się choinkowe światła i ekrany telewizorów.

- Skoro Japończycy używali alfabetu łacińskiego do oznakowania wysp, także dalsze wskazówki muszą być zrozumiałe dla anglojęzycznych. Te drobne kropeczki wryte w złocie też mogą oznaczać litery. Spróbujmy policzyć! Co wyszło? RIENKUB? A jeśli litery ułożyć inaczej? BUNKIER! Ludzie, bunkier! Pozostałość po wojnie! Bunkier na wyspie Bohol! A pięć gwiazdek i dwie strzałki? To może oznaczać... piąty bunkier! Dobrze, tylko spokój, Jupe. Tylko spokój...

Wiatr załomotał okiennicą. Chłopiec nawet tego nie usłyszał. Trzymał w palcach rysunek naszyjnika. Jak sroka wgapiał się w białe i czarne perły. Liczył, przesuwał, kombinował.

- Strzałki muszą oznaczać kierunek. To jasne. A białe i czarne perły? Myśl, Jupe, myśl! Na Boga! Od środka naszyjnika na lewo - to zachód. Na prawo - wschód! Dwadzieścia czarnych na prawo to może oznaczać tylko jedno: dwadzieścia kilometrów na wschód! Reszta to pestka! Eureka! Jestem największym detektywem świata!

Papa Andrews bardzo się zdziwił, gdy rozpoznał w słuchawce głos Jupitera.

- Co się stało, chłopcze? Są Święta!

- Ale ja odkryłem dokładne miejsce zakopania skarbów! Już wiem wszystko!

Żaden dziennikarz świata nie przegapi takiej wiadomości. A tym bardziej reporter lokalnego dziennika Sun-Press z Santa Barbara. Toteż Andrews senior zjawił się, ku zdumieniu ciotki Matyldy, w ciągu trzech kwadransów. Razem ze swym synem, Bobem, naturalnie. Wyciągnięcie z domu Pete'a Crenshawa nie przedstawiało problemu. I tam interesowano się zagadką z Filipin.

- Podwożę syna! - westchnęła mama Crenshaw do słuchawki. - Jest taka okropna pogoda, że nie pozwolę mu jechać rowerem.

W przestronnym saloniku ciotki Matyldy królowała ogromna sztuczna choinka przybrana błyszczącymi łańcuchami imitującymi morskie fale. Rzadko używany serwis do herbaty, wyciągnięty z głębin starego kredensu (wuj Tytus kupił go okazjonalnie na aukcji w Los Angeles), napełniono aromatycznym chińskim naparem. Ciasto rabarbarowe dopełniało reszty. Wszyscy zasiedli wokół okrągłego stołu, by wysłuchać zakończenia wielomiesięcznych poszukiwań. To, czego nie wiedzieli detektywi, dopowiedział senior Andrews. Jako dziennikarz miał dostęp do wielu źródeł "ściśle tajnych".

- Jak pamiętacie, wszystko zaczęło się na Filipinach w czasie drugiej wojny światowej. Ogromnego, zrabowanego majątku nie udało się generałowi Jamasita przewieźć do Japonii. Wysłane ze złotem frachtowce zatopili Amerykanie. Stąd konieczność, by wszystko ukryć na wyspach. - Jupiter przełknął duży kęs ciasta. - Ale... zostawić wskazówki dla tych, którzy przeżyją. Po wojnie sprawa poszła w zapomnienie. Jamasitę skazano na śmierć za zbrodnie wojenne, prezydent Filipin Marcos wykopał coś po cichutku, żeby nie powodować rozgłosu. Bał się, że na Filipiny mogą runąć tysiące poszukiwaczy złota. Każdy znał jakiś fragment wskazówki. Ale nikt dotąd nie znalazł wszystkich TRZECH naraz.

- Nawet Biały Dom! - potwierdził dziennikarz. - A jest tym bardzo zainteresowany. Część zagrabionych kosztowności należała do obywateli amerykańskich.

- Mijały lata - ciągnął Jupe - i niektórzy ludzie coraz bardziej interesowali się skarbem. Wszystko zaczęło się od naszyjnika. Plotka stugębna głosiła, że układ i kolor pereł mają niebagatelne znaczenie. Drugą wskazówkę wyryto delikatnie na złotym zamczku. Osoby, które kupiły naszyjnik, nie zdawały sobie z tego sprawy. Dopiero niejaki Tim Sirogata, kopiąc pod palmą, odkrył na jednej ze skał replikę naszyjnika - jego wyrzeźbiony wizerunek. Wiedział, że perły są obecnie w posiadaniu jego byłej

żony - Patrycji Mc Grove. Ta jednak nie chciała z nim rozmawiać.

- Tak - potwierdził senior Andrews. - Sirogata pozostawił współnika pod palmą, sam zaś zjawił się w Malibu. Zdesperowany, zainteresował historią Affleya Bucka. Ten był przekonany, że naszyjnik leży w ściennym sejfie domu Patrycji na wzgórzu. Wieść o naszyjniku dotarła też do innych poszukiwaczy. Sirogata miał niestety zwyczaj gadania przy alkoholu. W barze usłyszał tę opowieść Sam Gomez. Obaj zjawili się w Malibu. W willi Patrycji.

- Kto podpałił dom?

- Tim Sirogata. Wściekły, że nie znalazł sejfu. To on do was strzelał. Policja znalazła łuski. Pasowały do broni Tima. Ale on zwał do Europy. Anonim do policji wysłał Affley.

- Chcąc się pozbyć konkurenta! Co było dalej? - ciotka Matylda podparła brodę na dłoni. - Jupe?

- Co? Aha, dalej. Znalaziono ciało utopionego Sama Gomeza.

- Też robotą Affleya Bucka - dorzucił dziennikarz.

- Krótko mówiąc - ciągnął Jupiter Jones - Affley potrzebował współnika. Bo zaplanował kradzież pereł. Chciał mieć za jednym zamachem obie wskazówki. Dogadał się z ochroniarzem Patrycji, Tomem. Ale nie przewidzieli, że w Paryżu, gdzie Patrycja śpiewała przed wyjazdem do Warszawy, jubiler zmieni zameczek. Bo istotnie się zacinał. Od jubilera dowiedział się o naszyjniku znany w Paryżu złodziej Rene Oubri...

- To cała międzynarodowa szajka! - przestraszyła się mama Crenshaw. - I wy, chłopcy, do walki z nimi...?

- Była jeszcze właścicielka firmy kosmetycznej. Pewnie Oubri skontaktował się z nią, gdyż kiedyś nosiła te perły. Oboje przylecieli do Warszawy...

- Chciwość ludzka nie zna granic! - westchnęła ciotka Matylda.

- A ja wszystko wykryłem! - zaśmiał się Jupiter. - Trzej Detektywi staną się sławni.

- I co dalej? - niecierpliwił się dziennikarz.

- Następnie była kanapa. Czerwony, skórzany potwór podziurawiony nożem. Ale to już wiecie. Skrytkę w kanapie odkrył Pete.

- Tak - dorzucił Crenshaw. - Kanapa była źródłem ostatniej wskazówki. Pamiętającej rodzinę Jamasity.

Jupiter skubał wargę.

- To prawda - wykrztusił. - Pete znalazł zamszowy woreczek z koralikami. Ale to ja rozszyfrowałem sekret. Każdy kolor oznacza literę. Liczba koralików i cyfry z karteczki to miejsce litery w alfabecie. Stąd nazwy dwóch wysp: BOHOL i MARINDUQUE. Z informacji na zamczku odczytałem następne słowo-wytrych: BUNKIER.

- Wiem! - wykrzyknął podniecony dziennikarz. - Japończycy, cofając się przed amerykańskimi marines, wysadzali w powietrze niektóre bunkry z bronią! Ale gdzie on jest?

- Mała strzałka wryta w złotym zamczku określa kierunek - wschód - kończył Jupe. - Jest jeszcze pięć gwiazdeczek. - Piąty bunkier na północny wschód. To wszystko. Koniec.

- A... Marinduque? - Bob skrobał się w głowę.

- Wyspa Bohol jest związana wyłącznie z tajemnicą kosztowności. Biżuterii. Sądzę, że na Marinduque znajduje się całe złoto.

Zapadła cisza. Papa Andrews wstał od stołu, by udać się do telefonu.

- Komisarz Gregg? Przepraszam, że w same Świąta... tak, słyszę, jak dzieci hałasują. Co? Rozpakowują prezenty? Ja też mam prezent dla Białego Domu. Właśnie Trzej Detektywi rozwiązali zagadkę skarbu na Filipinach. Tak, wiem, że to sprawa wagi państwowej. Naturalnie...

- I co? - Bob dłużył łyżeczką w cieście.

- Jesteście proszeni o stawienie się w siedzibie prokuratora okręgowego.

- Kiedy?

- Za dwa dni. O dwunastej. W jego prywatnym domu.

- W mieszkaniu? Nie w biurze? - Jupiter Jones otworzył szeroko oczy.

Papa Andrews uśmiechnął się gorzko.

- Z biura różne informacje potrafią wyciec. Niestety. Wróg - jak to mówią - nie śpi. A sprawa dotyczy miliardów dolarów.

Dwa dni później chłopcy jechali czarną limuzyną na 3765 Alta Brea Crescent, West Hollywood. Samochód przysłał po nich sam prokurator okręgowy Duck Bromberg, autor licznych podręczników prawa i likwidator wielu afer o podłożach politycznych i finansowych. Znany postrach gangsterów od San Francisco po Los Angeles i San Diego.

- Szkoda, że nie możemy sami odkopać tego bunkra! - rozmarzył się Pete. -

Zostały nam jeszcze jakieś pieniądze z nagrody za hasło dla American Airlines?

Bob wyjął notatnik. Był jak zwykle skrupulatny aż do przesady.

- Tak. Mamy na koncie cztery tysiące dwieście pięćdziesiąt sześć dolarów i czterdzieści centów. Resztę wydaliśmy w Warszawie. A także na świąteczne prezenty w Rocky Beach.

- Za mało, by wyruszyć na Filipiny! - westchnął Jupe.

- Nikt by nas tam nie puścił - uprzedził Bob. - Ojciec mi mówił, że sprawa będzie utajniona. Właśnie jedziemy, by złożyć przysięgę...

- Morda w kubek? - zmartwił się Pete.

- Grób!

Duck Bromberg był przedstawicielem amerykańskiej palestry: zażywny, dobrze ubrany, z nieodłącznym cygarem z zębach. Powinien mieć na głowie cylinder w kolorach amerykańskiej flagi, a byłby doskonałym wizerunkiem "Wuja Sama".

- Witajcie, chłopcy. Macie licencje detektywów?

Jupiter Jones miętosił połę marynarki. Nie znosił garniturów. Ale ciotka Matylda nie ustąpiła.

- Chcę - mówiła - żebyś wyglądał godnie.

No, to wyglądał. Ale czuł się okropnie.

- Jeszcze nie.

- Podobno jesteśmy za młodzi! - wyrwał się Bob.

Prokurator okręgowy wskazał dłonią skórzane fotele. Na szczęście nie były czerwone. Niestety, pachniały pastą do butów.

- Szklaneczkę? No nie! - zreflektował się poniewczasie. - Coca-cole?

- Z lodem - twardo powiedział Pete.

- Jakież wymagania trzeba mieć! - roześmiał się prokurator ukazując garnitur nylonowych zębów. - Szczególnie, gdy się rządowi Stanów Zjednoczonych daje w prezencie parę ton złota!

- Nie moglibyśmy tam pojechać? - wyjęczał Bob. - Na Filipiny?

Duck Bromberg rozłożył dłonie.

- Sorry. Tego nie mogę wam obiecać. W przeciwieństwie do... licencji! Dostaniecie je, bo zasłużyliście na miano prawdziwych detektywów!

Jupiter Jones wyjął jedną z wizytówek.

- Oto nasze nazwiska. We właściwej kolejności. Dostarczymy też fotografie.



Wszystko, co trzeba!

- W porządku. A teraz wstańcie i przysięgnijcie na świętą Biblię, że nie piśnecie nikomu ani słowa.

- Już pisnęliśmy - Bob rozłożył ręce.

- Wiem. Ale ani słowa więcej. Wszystkie notatki, koraliki, szpargały i rysunki zostaną u mnie.

Jupiter Jones w skupieniu opróżniał kieszenie. Czuł się tak, jakby na zawsze tracił dzieciństwo.

Wracali drogą przez Malibu. Kierowca limuzyny grzecznie zapytał:

- Dokąd panów podwieźć?

Jupiter zmarszczył brwi.

- Do domu, w którym mieszka Alfred Hitchcock. Wie pan, gdzie to jest?

Murzyńską twarz rozjaśnił uśmiech.

- A kto by nie wiedział!

- I tak, proszę pana, zostaliśmy na lodzie - relacjonował Pierwszy Detektyw siedząc przy stoliku zastawionym świątecznym ciastem z miodem i orzechami.

Sławny reżyser pocierał pulchne policzki.

- Rzeczywiście. Filmu bym z tego nie zrobił. Brak zakończenia. Ale trup jest. Całkiem udatny. Bardzo potrzebny w kryminałach.

- Trup? - zdziwił się Pete. - Nie poznałem żadnego!

- Nawet dwa - sprostował dokładnie do przesady Bob. - Jeden to topielec we własnym basenie. Mąż Toi la Roha. Drugi - nasz zleceniodawca - Sam Gomez, którego z takim poświęceniem wieźliśmy do szpitala w Santa Monica. Oddali życie z czystej chciwości.

Alfred Hitchcock rozłożył ręce.

- Cała historia Kalifornii pełna jest ludzi, którzy narażali życie dla pieniędzy. Poszukiwacze złota, ropy naftowej... strzelali do siebie bez opamiętania!

- My nie! - zaprzeczył Pete. - Nie używamy broni, tylko szarych komórek. I żaden z nas nie dostanie z tego skarbu ani okruszyny!

- Trudno walczyć o złoto, które do nas nie należy! - skwitował Jupiter. - Ale pomarzyć można, no nie? Gdybyśmy tak ukradkiem wypłynęli tratwą na Filipiny i...

Bob wybuchnął śmiechem.

- Trzeba by nakręcić film pod tytułem: "Szczęki 4"!

- To już lepiej od razu zamknij się w więzieniu i połknij klucz od celi, bo inaczej nie ręczę za twoje życie!

Jupiter Jones zwiesił głowę. Był marzycielem. Zawsze i wszędzie będzie szukał nowej drogi do Indii.

Alfred Hitchcock poklepał go po plecach. Też był marzycielem, mimo upływu lat. Zadzwoił telefon. Reżyser odebrał.

- Tak, są u mnie. Potrzebni? Zaraz ich powiadomię. - I zwracając się do Jupitera powiedział: - Policjanci i detektywi są jak karpie. Nie świętują w Wigilię!

- Nowa sprawa? - ucieszył się Jupiter.

- Tak. Pozbieraj się, otrzep z kurzu, jak mawia moja sekretarka, i zacznij od nowa! Powodzenia, chłopcy!